

informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 240
literacki



Kama

ANIOŁEK

Szał z aniołkami zaczął się na miesiąc przed świętami; najpierw gipsowe odlewy przyniosła do pracowni Agnieszka, a potem ten wernisaż Maksa... Nie, najpierw był wernisaż. Wcale nie miałem na niego iść, ale poszedłem. Jest taki niepisany zwyczaj, że trzeba przychodzić na wystawy wszystkich znajomych malarzy, jeśli się chce, żeby potem przyszli na twoją. Nie wypada iść z pustymi rękoma; przynajmniej tę jedną różę trzeba kupić. Nie miałem kasy na kwiaty, zresztą facetom róż nie daję. Wyjąłem marynarkę z szafy i wyszedłem w ciemny, grudniowy, mokry wieczór. Ostatecznie nie można przegapić czegoś takiego, jak darmowe żarcie; nawet jeśli to będą tylko chipsy i zwierzęta, tani szampan.

Nasza galeria mieściła się w samym centrum miasta i na tym koniec splendoru. Wchodziło się do niej przez brzydką, obdrapaną, okratowaną bramę, a samo pomieszczenie, mimo że duże, wysokie i pomalowane na biało, zawsze wyglądało jak nora. Może przez to, że okna wychodziły na północ, a może coś dziwnego działa się ze światłem: obojętnie ile żarówek świeciło – ciągle było ciemno. Nigdy nikt tam nie przychodził oprócz dnia otwarcia wystawy, chyba że bezdomny. Wiem, bo raz siedziałem tam przez ciekawość i dałem bezdomnemu na piwo, żeby sobie już poszedł.

Tym razem jednak nie było ciemno. Pierwsze, co mnie uderzyło, to jasność jakiej w tej galerii jeszcze nie widziałem. Trochę mnie przystopowało przy wejściu, aż zmrużyłem oczy.

Powkręcał tysiącwatowe żarówki, czy co? Sam chciałem kiedyś takie wypróbować. Gości nie było zbyt dużo; jakieś trzydzieści kilka osób w większości mi znanych. Już było po otwarciu, więc przywitałem się i załapałem za kieliszek szampana. Niekoniecznie w tej kolejności. Spojrzałem na obrazy. Jeszcze nigdy nie było tu tak jasnych i rozświetlonych prac. Podszedłem bliżej. Maks zawsze malował piękne akty. Nawet miałem ochotę jeden od niego kupić, żeby go skopiować – i dojść, jak on to robi. Ciało zdawało się oddychać, a pod delikatną skórą tętniło życie.

Tym razem też: akty. Przy śmiałej kresce, delikatność kobiecej ręki. Pomysł flirtujący z kiczem, banalny i śmiały zarazem; anioły. Na płótnie istota o płci trudnej do ustalenia siedząca na parapacie okna z potłuczoną, brudną szybą. Chłopiec, może dziewczyna, nagi odwrócony tyłem, spuszczone w dół, szare, brudne skrzydła zmaltretowanego gołębia. Robi wrażenie. Czemu nie ja na to wpadłem? Popijam szampana i mrużę oczy; chłopak. Nie. A jednak! Przyglądam się smukłej szyi i nieco wystającej krtani.

– Piękne!

Odrywam się od zjawiska w ramach. Za mną nasza profesorka.

– Piękne! – potakuję.

Jeśli nie umiem tak malować muszę to przynajmniej docenić.

Podchodzą dwie stare smoczyce. Kilka takich jest na każdej wystawie. Nikt ich nie zna, one znają wszystkich.

– Widziałam tego chłopca na dworcu. Grał na organkach – komentują obraz.

– Nie. Żebrał pod delikatesami. Jestem pewna.

Idę przywitać się z Makssem. Wysoki blondyn z włosami w kitkę w kurtce motocyklowej wygląda jak „anioł piekielny”. Trudno uwierzyć, że namalował coś tak kobiecego.

– Gratuluję. Jak na to wpadłeś?

Śmieje się.

– Powiem ci, jeśli zostaniesz po wystawie.

Oczywiście mam mu pomóc posprzątać. Wzruszam ramionami; niech będzie. Na pewno schował w kantorku wódkę, którą się zajmiemy, gdy inni już pójdą. Co lepszego można robić w zasmarkany, grudniowy wieczór? Długo przyglądałem się obrazom. Było ich tylko kilkanaście, z tym samym aniołem w rozmaitych pozach. Maks obnosi przed nami swoje zwycięstwo; jutro wyjeżdża z pracami za granicę i ma – rzecz dla mnie egzotyczną i nieosiągalną w tym wcieleniu – własnego marszanda.

Wernisaż pozostawia na podniebieniu piekącą gorycz chipsów i cudzego sukcesu. Sam nie wiem co gorsze.

Na śmietniku za galerią wyrzucamy worki z tackami i plastikowymi kieliszkami. Wkładam kask i ruszamy. Maks jeździ na motorze póki śnieg nie spadnie. Zapłacę za to katarem albo zapaleniem płuc. Przynajmniej umrę młodo i spokoj.

Już w dniu otwarcia wystawy sprzedał połowę obrazów; to się rzadko zdarza. W tej galerii wcale się nie zdarza. Jeśli sprzedasz trzy obrazy, to się cieszysz, że zwróciły się koszty i jest się za co upić. Może jak się z nim upiję – spłynie i na mnie trochę natchnienia. Na szczęście Maks mieszka w centrum i docieramy tam, zanim zamierzam na śmierć.

W starej kamienicy na strychu ma pracownię okropnie zimną zimą i gorącą latem; za to z dobrym światłem. Gdy wychodzi na chwilę do toalety dopadam małych plastikowych buteleczek stojących na parapecie obok sztalug. Jakiego używa medium, że jego obrazy mają takie światło? Nie znajduję nic ponad to, co można nabyć w sklepie dla plastików i czego sam używam. Podchodzę do obrazu i dotykam go prawie nosem, gdy wraca natychmiast odskakuję z obojętną miną.

– Jutro wyjeżdżam... – zaczyna stawiając wódkę.

– Wiem!

Ile razy mam jeszcze o tym słyszeć?

– Chcę, żebyś się kimś zaopiekował.

Oglądam się za jego syjamskim kotem.

– Dłaczego ja?

– Mieszkaś sam.

No, fakt.

– Nie lubię kotów – zastrzegam.

Tego smrodu nie da się niczym zlikwidować; przebija się nawet przez terpentynę.

– Kota nakarmi sąsiadka. Dam jej jakiś obrazek.

Może mnie by dał jakiś obrazek.

– Chcę, byś zaopiekował się Aniołkiem.

– Czym?

– Nie czym, tylko kim.

Pokazuje na duży materac w rogu pracowni. Teraz dopiero zauważam w półmroku, że ktoś tam śpi. Na ogromnym pościenu, na którym ze trzy pary jednocześnie mogłyby uprawiać seks, leży drobna postać przykryta niebieskim kocem. Spod frędzelków wystaje szczupła, nieco przybrudzona stopa, a z drugiej strony ciemne włosy. Podchodzę bliżej.

– Skąd to wytrasnąłeś? Z dworca?

– Z internetu.

Akurat.

Aniołek nie obudził się, mimo że bezceremonialnie szturcham go w ramię.

– Naćpany – raczej stwierdzam niż pytam.

Maks udaje, że nie słyszał.

– Nieletni – dodaję już z naciskiem.

– Jest pełnoletni.

– Widziałeś jego dowód?

– Jeszcze nie wyrobił.

Pukam się wymownie w czoło.

– Nic z tego. Nie szukam kłopotów i jestem bez kasy...

Maks wyciąga z kieszeni skórzanych spodni zwitek banknotów.

– Nie oddam ci – zastrzegam.

– Nie musisz. Tylko go trochę przypilnuj. Tydzień.

– To twoja muza czy co? Oddaj, skąd go wzięłeś.

Budzę się późno z bólem głowy, zwitkiem banknotów w kieszeni i niejasnym wspomnieniem, że do czegoś się zobowiązałem. Jest za późno, by wszystko odkręcić – mimo to przynajmniej próbuję. Najpierw mam zamiar nie otwierać drzwi; jak to nie pomoże, to coś wymyślę.

Otwieram zaraz, gdy zjawiają się pod wieczór. Mieszkam w dwupiętrowym bloku, gdzie wszyscy się znajdują. Nie chcę, by ich widziano pod moimi drzwiami. Maks nieogolony

i wymięty w towarzystwie ćpunka, który wygląda gorzej od niego: chudy, blade z sińcami pod oczami – mały wampir na wiecznym głodzie.

– Spieszę się, zaraz muszę być na lotnisku...

– Po co? Jeden odlot już tu mamy – wrzuszam ramionami.

Aniołek rzuca plecak na podłogę, a siebie na fotel. Zadomawia się błyskawicznie i posyła mi pogardliwe spojrzenie nastoletniego buntownika.

– Nie pozwól mu odejść i nie maluj go! – Maks mówi to z naciskiem.

– A po północy wolno go karmić? – siłę się na żart.

Maks wybiega na schody, zanim zdążyłem mu powiedzieć, że się rozmyśliłem. Już bym wolał zaopiekować się jego kotem. Chyba dostałem coś znacznie gorszego niż gremlina na przechowanie.

Zamykam drzwi i przyglądam się Aniołkowi.

– Cześć! Jestem Krzys – przedstawiam się.

– Ten od Kubusia Puchatka?

Słyszałem to już tysiące razy.

– Niech zgadnę. Kubuś to ty nie jesteś – stwierdzam.

Długie brudne włosy opadają mu na oczy i zza tej zasłony obserwuje mnie czujnie i nieżyczliwie. Spróbowałem inaczej:

– Chcesz obiad?

Błysk zainteresowania.

– Na dole jest bar, stawiam gołąbki.

Bez słowa wstaje z fotela i podchodzi do drzwi.

Wpycham go w najodleglejszy kąt baru, żeby mnie nikt z nim nie widział. Najchętniej zawłókiłbym go na drugi koniec miasta i zostawił. Trochę mi go szkoda.

– Poznałeś Maksa przez internet? – pytam naiwnie – Nie uciekłeś czasem z domu?

– Ochujaleś?

Już mi go nie szkoda. Wrywam mu z ręki kartę dań i odkładam.

– Zaprosiłem cię na gołąbki, a nie na bankiet z przystawkami.

Jego brudne szczupłe dłonie opadają na blat stolika, opuszcza głowę.

Gołąbki są najtańszą pozycją w tej karcie i żywię się nimi nieomal każdego dnia. Oczekiwanie przeciąga się nienośnie – i zastanawiam się, co mam z Aniołkiem zrobić. Jak dogadać się z czymś takim; jeszcze nie korniszon, a już nie ogórek. Puścić mu bajki na kasecie czy porno? Ile może mieć lat? Zauważa, że się mu przyglądam i peszy się nieco. Niżej spuszcza głowę i dokładnie obciąga rękawy bluzy. Nie mam ochoty się domyślać, co tak skrętnie ukrywa na chudych rękach. W milczeniu zjadamy gołąbki i czuję, że się z nim nie dogadam. Gotowy jeszcze wypić moje rozpuszczalniki, gdy go przypili. Kiedy wracamy jest jeszcze gorzej; ponownie zawładnął moim ulubionym fotelem i pilotem od telewizora. Kto ma pilota, ma władzę; więc odbieram mu go.

– Masz budzik? – pyta.

– Co?

– Taki zegar, co dzwoni... Rano idę do szkoły.

Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego.

– Szkoły?

Muszę mieć bardzo głupią minę.

– To takie miejsce, gdzie się uczę.

Potrząsam głową; artysta nie podporządkowuje się dzwonom. Jednak kiedyś miałem budzik, więc wstaję, żeby go poszukać. Natychmiast rzuca się na pilota i – byłbym przysięgł – pokazuje mi język za plecami. Budzik znajduję za szafą i – o dziwo – chodzi.

– O której wstajesz?

– O szóstej.

Ręce mi opadają.

– Gdzie ta szkoła? Na innym kontynencie? Trzeba było poprosić Maksa, żeby cię podrzucił samolotem.

Zabieram mu pilota i wręczam budzik – uświadamiając sobie, że nie mam go gdzie położyć spać. Mam tylko jedną kanapę i dwa pokoje; w jednym śpię, a w drugim maluję.

Ponownie przeklinam Maksa, chowam pilota pod fotelem i szukam śpiwora. Aniołek wygląda jakby ledwie trzymał się na nogach. Gdy robię mu prowizoryczne spanie na zsuniętych fotelach, nastawia budzik i zasypia nie rozbierając się i nie fatygując się nawet do łazienki.

Z namysłem gapię się na jego plecak. Jednak nie zniżę się tak bardzo. Przynajmniej nie dziś. Chowam skrzętnie media i rozpuszczalniki, napoczęte pół gazu i tabletki przeciwbólowe. Po namyśle chowam też noże, środek do przetykania zlewu i stawiam przed drzwiami prowizoryczną pułapkę z pustych puszek po piwie. Czy się boję? Trochę tak, mimo że jestem dwa razy cięższy od niego. Kto go tam w końcu wie?

Coś piszczy. Naciągam kołdrę na głowę i kulę się na kanapie. Piszczy i piszczy. Nie ma mowy, nie wstanę. Piszczy. Coś tam sobie przypominam, ale i tak się nie ruszę. Mnie ten pisk nie dotyczy. Usiłuję zasnąć, ale dźwięk przewierca się przez ucho do mózgu, jak świder. Daję za wygraną i siadam.

– Wyłącz to! – drę się i dodaję kilka przekleństw.

Ucichło. Zасыpiam natychmiast.

Ktoś szarpie mnie za ramię.

– Gdzie masz nóż?

– Co?

– Chcę sobie chleba ukroić.

– Weź cały.

– Ochująłeś?

Nie mogę znaleźć noża. Pojęcia nie mam, gdzie go schowałem. Daję Aniołkowi dwa złote na bułki i wracam na posłanie. Zanim zasypiam – słyszę, jak wpada w pułapkę z puszek i przeklina.

Nie uwierzyłem w tę szkołę ani trochę. Poczułem ulgę, że przepadł z tym swoim plecakiem, którego tak bardzo pilnował. Jest nadzieja, że już go nie zobaczę. Jestem nieprzytomny z niewyspania. Świty oglądam raczej od drugiej strony. Przed południem warsztaty z martwej natury... Sam jestem jak martwy.

Agnieszka przyniosła gipsowe aniołki. Dziewczyny piszczą z zachwytu i wyrrywają jej te cacka wprost z kartonu. Korzystam z tego i zajmuję najlepsze miejsce do malowania. Po piętnastu minutach głupieję i kupuje niebieskiego aniołka dla siostry pod choinkę. Przynajmniej mam prezent z głowy.

– Posuń się troszeńkę – Magda jęczy mi za plecami – Nic nie widzę.

– Zapomnij!

Nawet o milimetr się nie ruszę z tego miejsca. Dobre miejsce to połowa sukcesu. Kończy się szal z aniołkami i zaczynamy malować. Prawie same dziewczyny. To normalne; faceci nie znoszą martwych natur. Jakby była modelka, nawet brzydka i gruba, to przyszliby wszyscy, a tak jest nas tylko dwóch. Martwej natury nie sprzedasz. Zwłaszcza takiej: jakaś szmata, klatka po ptakach i noga manekina. Do tego wściekle zielone boa z piór, prosto od „bajzel mamy”. Po zaliczeniu warsztatów taki obraz można tylko przemalować.

Dziewczyny obsiadają mnie gęsto nie tylko z powodu dobrego miejsca do malowania. Niby nie zwracam na to uwagi, ale wiem, że interesuje je starszy student o wyglądzie szczupłego szatyna po przejściach, który robi dyplom z paroletnim opóźnieniem.

Malowanie zdecydowanie mi nie idzie. Nie tylko z powodu niewyspania: zastanawiam się, czy Aniołek podczas mej nieobecności nie obrobi mi mieszkania. Mógł zabrać zapasowy klucz wiszący przy drzwiach na gwoździu. Właściwie tylko telewizor jest wartościowy i tak kobyłasty, że nawet dziesięciu takich jak on zesrałoby się prędzej niż go wyniosło. Ta myśl trochę mnie uspokaja, ale nie na długo. Gdy jestem w połowie podmalówki, widzę w wyobraźni jak dziesięciu małych aniołków wynosi mój telewizor. Ręka z pędzlem opada i rozglądam się nieco zaniepokojony. Magda korzysta natychmiast i pożyczka sobie moją farbę.

– Ta zieleń bardziej dramatyczna - pani profesor pochyla się nad moją pracą, niczym dobra wróżka z bajki.

Proszę bardzo. Robię coś, czego absolutnie nie wolno; wyciskam prosto z tubki zieleń na płótno i rozsmarowuję. Magda chichocze za moimi plecami. Szybko kończę podmalówkę,

o której można powiedzieć, że jest pobieżna i prawidłowa. Myślę już tylko o moim gościu. Oddaję paletę z resztą farb Magdzie, odstawiam płótno pod ścianę i wymykam się, zanim pani profesor zauważy plamę zjadliwej zieleni.

Telewizor stoi jak stał. Nic się nie stało. Na razie. Trochę jestem rozczarowany. Stawiam gipsowego aniołka na półce. Siostra będzie zachwycona tym bardziej, że oddam jej stówę przed świętami. Idę sam na obiad.

Już się ucieszyłem, że Aniołek przepadł, gdy zastałem go siedzącego w kucki pod moimi drzwiami.

– Cześć! – witam się bez entuzjazmu – Co w szkole?

– Obchodzi cię?

– Nie.

– Szkoda. Mam się zgłosić z opiekunem.

– Chciałbyś – pukam się w czoło – Sam chodzę do szkoły.

Aniołek bardzo się zdziwił. Przygląda mi się rozbawiony i szczerzy zęby.

– Nie jesteś za stary?

– Na studiowanie nie jest się za starym.

Chyba.

– Dasz obiad?

Gołąbki przyniosłem w słoiku, żeby już nie pokazywać się z moim gościem w barze. Nasza rozmowa boleśnie przypomina, że dyplom powinienem zrobić trzy lata temu. Niestety, choroba przerwała mi studia.

Aniołek pożera gołąbki zachłannie i szybko.

– Tylko tym się żywisz? – pyta.

Nie odpowiadam. W myśli przeliczam dni do powrotu Maksa. Jeszcze pięć. Wytrzymam, nawet gdybym musiał siedzieć na gwoździach. Mój gość tymczasem ogląda mieszkanie ostrożnie i nieufnie, jak dziki zwierzątko wypuszczony z klatki w nowym miejscu. Pochyla się nad obrazami stojącymi pod ścianą.

– Ty też malujesz? – pyta.

– Nie, haftuję – warczę.

Jego zainteresowanie wzbudzają szkice węglem.

– To jest do dupy. Nawet tego nie pokolorowałeś – stwierdza surowy krytyk.

– Nie ruszaj! – odbieram mu prace, węgiel rozmazuje się przy lada dotknięciu, a jeszcze go nie utrwaliłem.

Podchodzi do półki z aniołkiem i dotyka go palcem.

– Aniele niebieski strózu mój, spraw, żeby stał mi chuj...

– Lubisz to słowo? – pytam.

Nie wytrzymam z mim pięciu dni.

– Może być tak lekcje odrobił? – proponuję.

Odwraca się zwinnie w moją stronę i zanim włosy mu opadną, stwierdzam, że ma zielone oczy z brązowymi plamkami. Robi nieprzyzwoity gest i wskakuje na fotel. Nie wytrzymam z nim pięciu godzin; tym bardziej, że włącza głośno telewizor.

– Nie otwieraj nikomu! – zastrzegam podchodząc do drzwi – Nie zapłaciłem za gaz...

– Nie jestem dzieckiem!

Wychodzę.

W sklepie dla plastyków wydaję część pieniędzy od Maksa. Kupuję płótno i blejtramy. Wybieram pędzle z tych lepszych, o miękkim delikatnym włosiu. Gdy się nimi maluje – to tak, jakby lizało się obraz językiem. Kupuję też nóż w sklepie z gospodarstwem domowym. Tych schowanych nie znalazłem. Wracam obładowany asortymentem malarskim i zupełnie przemoknięty. Zaczyna padać mokry śnieg. Aniołek zadowolony grzeje się przy telewizorze – i mam ochotę wyrzucić go na tę pluchę, żeby zamarzł. Postanawiam zagruntować płótna i podgrzewam klej stolarski. Ćpunek wyczuł natychmiast zapach kleju i znika jego obojętność. Nozdrza zadrgały mu i wsadził łakomie nos do garnka.

– Co masz?

– Nic dla ciebie.

Nie chce odejść, więc go odpycham nieco brutalnie.

To stara metoda, jednak klej najlepiej napina i utwardza płótno.

Aniołek urażony wraca na fotel. Obserwuję go chwilę – czekając, aż klej się rozpuści. Znowu spuszcza głowę zasłaniając się włosami, zainteresowanie znika. Ma kamienną twarz nastoletniego sfinksa; bez uczuć i pragnień. Jest zakurzony, jakby spał na schodach i postanawiam wrzucić go pod prysznic. Jeszcze przywlecze coś, czego nie znajdę nawet w encyklopedii medycznej. Do fotela już czuję obrzydzenie.

– Umyj się. Jest ciepła woda i mydło.

Znowu nieprzyzwoity gest i wyzywające spojrzenie.

– Ten fotel drapie się od wczoraj. Dam ci ręcznik.

Wracam do kleju, a indywiduum idzie jednak do łazienki.

– Daj ręcznik – krzyczy.

Gdy szukam ręcznika ponownie wkłada głowę do garnka. Krótkie starcie, które wyrywam, i znowu znika w łazience. Drzwi nie mają zamknięcia, więc czekam, aż usłyszę szum wody – potem cicho podchodzę i zabieram jego ubranie. Szybko uruchamiam pralkę szalenie z siebie zadowolony.

– Gdzie ciuchy? – pyta przestraszony.

Pokazuję na pralkę; za szybką latają jego bielizna, spodnie i bluza. Teraz widzę, jak bardzo jest wychudzony, a na rękach ma sine blizny po nacięciach. Trochę się spieszyłem. Bezradnie przytrzymuje ręcznik na szczupłych biodrach i już nie jest tak chętny do nieprzyzwoitych gestów. Bez słowa wraca na fotel i zawija się w śpiwór. Chciałem dobrze, a wyszło tak, że mam ochotę go przeprosić. Z tego wszystkiego klej mi się przypalił i teraz cuchnie, aż czuć na schodach. Sąsiedzi znowu powiedzą, że artysta chce ich wysadzić i naślą na mnie policję. Otwieram szeroko okno.

– Chcesz, żebym zamarł?

Jeszcze przed chwilą właśnie tego chciałem. Wracam do moich płócien i kleju. Już prawie wieczór; minął następny dzień.

Aniołek nie poszedł do szkoły, bo jego rzeczy nie wyschły. Znalazłem się w niezręcznej sytuacji, bo nie bardzo miałem ochotę zostawić go samego na dłużej. Nie przewidziałem tego w swoim zamiłowaniu do czystości. Błąd. Ostatecznie nie wyrzucę go w wilgotnym ubraniu na śnieg. Siedzi w fotelu zwinęty w kłębek ze śpiworem naciągniętym prawie na głowę i wygląda na chorego. Widocznie czysta woda mu nie służy.

Wychodzę na zajęcia – zakładając, że jeśli mnie okradnie, to przynajmniej zniknie ostatecznie. Tak naprawdę to się boję, że coś łyknie i jeszcze znajdę go martwego w moim mieszkaniu. To byłby problem.

Wracam późno i zastaję go śpiącego w fotelu. Ma bardzo podkrążone oczy i, jeśli to możliwe, jest jeszcze bledszy. Na twarzy ma czerwone krosty. Obrzydliwe. Zastanawiam się, czy coś zażył – i obserwuję jego spokojny oddech podnoszący róg śpiwora. Z niepokojem chwytam go za dłoń macając puls. Ma małe dziewczęce ręce o poobgryzanych paznokciach, które wrywa gwałtownie.

– No, czego?

Kuli się jakby się bał, że go uderzę.

Nie przyniosłem obiadu, więc robię jajecznicę. Aniołek poszedł się ubrać i z łazienki słyszę jego pełen rozpaczony okrzyk:

– Co to kurwa jest?!

Idę sprawdzić.

Stoi przed lustrem i z przerażeniem dotyka swojego czoła. Teraz widzę, że to, co wziętam za młodzieńcze pryszczki, to wysypka. Jest na całym ciele. Podciągam mu bluzę, by lepiej się przyjrzeć.

– Masz AIDS? – pytam.

– Ochujałeś?

– Jeśli jeszcze raz tak zapytasz, to zrobię ci krzywdę – mówię.

Aniołek jest przerażony, ale nie moją groźbą; tym, co mu wyskoczyło na skórze. Ma gorączkę.

Lekarz na pogotowiu bez słowa wpisał receptę do mojej książeczki. Ospa. Oddycham z ulgą, że nic gorszego. Potem zastanawiam się, czy miałem ospę. Chyba nie chcę, by moje plany świąteczne zakończyły się na dziecięcej chorobie.

Szkoda, że nie skierowali cię do szpitala – mówię do pokrytego krostami indywiduum.

Robi nieprzyzwoity gest.

– Uważaj! Chcesz oberwać w te bąble? – ostrzegam.

Ludzie w aptece zaczynają się nam przyglądać, więc milknę. Wypokupuję lekarstwa i wracamy. Maks będzie mi musiał dopłacić. Za straty moralne też! W nocy Aniołek dostał wysokiej gorączki i złał się w śpiwór. Ja sam dostałem cholery; nie nadaję się na pielęgniarkę. Minał następny dzień i nieprzespana noc.

– Jeśli zamierzasz mi tu zdechnąć to lepiej idź do szpitala, tam się tobą zajmą – stawiam sprawę jasno.

Jest rano i chcę iść na zajęcia; tylko nie jestem pewien, czy powinienem.

– Maks powiedział, żebyś mi nie pozwolił odejść - Aniołek się przestraszył.

– Na tamten świat?

– Już mi lepiej.

– Pewnie. Ledwie gadasz i nie wiadomo, czy dojdiesz do sracza nie zostawiając plamy za sobą.

– Dojdę.

Wygląda upiornie i ma światłowstręt jak rasowy wampir. Wszystko mnie swędzi po tym, jak smarowałem go białą pastą i już ze sto razy oglądałem się w lustrze.

Przypilnowałem, żeby wziął lekarstwo i wychodzę. Jeszcze trzy dni i niech go Maks zabiera – obojętnie, w jakim stanie.

Moja twórczość malarska ogranicza się do malowania Aniołka i to dosłownie: maluję go takim świństwem na białą tam, gdzie nie może sobie sięgnąć; głównie na plecach. Podskakuje za każdym moim dotknięciem i przeklina. Mnie też nie sprawia to przyjemności, ale nie przeklinam. Zaciąłem się w pełnym obrzydzenia milczeniu. Jakbym się opiekował trędowatym.

Następnego dnia przychodzi moja siostra. Ucieszyła się z niebieskiego aniołka, którego jej dają przed świętami; nie umiem pakować prezentów i chcę sobie zapewnić zaproszenie na Wigilię. I tak by mnie zaprosiła. Chyba.

– Kto to jest? – pyta zaglądając do sypialni.

– Brat kolegi... wyjechał i... – usiłuję coś nakłamać.

– Biedactwo; jest chory?

Biedactwo zajęło moją kanapę po tym, jak zmoczyło fotel.

– Czy ja miałem ospę? – pytam.

– Nie mam pojęcia.

Ja też!

– Przyniosę wam zupę i ciasto!

Siostra siada na posłaniu i głaszcze chorego.

– Nie trzeba...

– Przynieś! – Aniołek jest zachwycony.

– Przynieś dmuchany materac – proszę zrezygnowany.

Siostra obiecuje smakołyki i materac. Gdy wychodzi Aniołek pyta:

– To twoja dupa?

Zadzwoił Maks. Dostał wysypki i utknął w hotelu. Ja dostałem ataku śmiechu.

– To nie jest śmieszne!

Owszem jest. Zapytałem, czy też naszczał do łóżka. Okropnie się wkurzył.

– Pamiętaj; nie maluj go i nie daj mu odejść – powiedział, gdy przestał przeklinać.

Dlaczego to takie ważne?

– Dobra – mówię spokojnie, żeby mu nie podskoczyła gorączka.

Aniołek nie chce rozmawiać z Maksem; potrząsa głową i marszczy nos, gdy podtykam mu telefon. Nie moja sprawa.

– Olać cię! – żegnam się z Maksem.

Mam doła; wyjmuję z szafy skręta z trawką i zapalam. Aniołek wskakuje mi na kolana jak tresowany pudel. Mam ochotę rzucić papierosa, by zobaczyć, czy aportuje. Po kilku pociągnięciach zaczyna się głupio śmiać.

– Masz więcej?

– Nie.

Już mnie nie lubi. Ja też za nim nie przepadam – i tak niech zostanie.

– Dlaczego nie wolno cię malować? – pytam go.

Wzrusza ramionami.

Postanawiam się przekonać i wybieram płótno. Duże; metr na osiemdziesiąt.

– Nie rozbiórę się! – zastrzega chory widząc, co się szykuje.

– Nie musisz.

Siedzi w mojej za dużej dla niego piżamie w fotelu i wygląda śmiesznie z ubielonym czubkiem nosa. Maluję go na złość Maksowi i chyba sobie samemu, bo nie mam ochoty go portretować. Zwłaszcza jego. Tracę cały wieczór i nie jestem specjalnie zadowolony z rezultatu. Chyba zamaluję ten obraz. Jest szary i nijaki. Zostawiam go na sztalugach i idę spać.

Budzi mnie ból głowy i jasność, która razi w oczy. W nocy padał śnieg i jego biel wzmocniona słońcem prawie mnie oślepia. Wstaję z zamkniętymi oczami i po omacku zasłaniam okno. Szukam prochów przeciwbólowych i zerkam na obraz.

Przyznam, że się nieco przestraszyłem. Portret chłopca rozświetlony i zmieniony. To ja namalowałem? Podchodzę bliżej i przyglądam się uważnie. Postać ma domalowane skrzydła; szare postrzępione pióra, kilka połamanych lotek. Musiałem się nieźle wczoraj naćpać. Tylko że... ja tak nie maluję!

Ponownie studiuję z bliska każdy szczegół, aż słyszę jak mój model człapie z sypialni. Szybko zdejmuję obraz i odwracam go do ściany.

– Umiesz malować? – pytam.

– Ochu..... Nie!

– Powiedzmy.

Wracając z zajęć wpadam do galerii. Obrazy Maksa wiszą tak jak wisiały. Dokładnie oglądam zwłaszcza skrzydła. Są identyczne jak te, które pojawiły się na moim portrecie; malowane tą samą ręką.

– No, poczekaj!

Moja siostra przyniosła jedzenie i materac. Chory zawałdnął natychmiast ciastem nie mając zamiaru się podzielić. Tym razem ja wskakuję mu na kolana przygniatając do fotela. Piszczy jak dziewczyna, jednak uratowałem kawałek dla siebie.

– Lubisz aniołki? – pyta.

Obrydliwie łasi się do mojej siostry, niby marcowy kocur – i gdyby miał ogon zapewne zadarłby go wysoko i pstryknął. Przeganiem go na kanapę; ostatecznie to moja siostra, a fotel już zaznaczył.

– Co on taki niedopieczony?

Patrzę na nich z odrazą. Nie mam zamiaru tego dociekać.

Gdy siostra wychodzi, oglądamy telewizję. Zastanawiam się nad faktem, że Maks wystawił jako swoje obrazy, które w połowie namalował jego model. Więc sukces Maksa nie jest jego własnego autorstwa. Ciekawe i irytujące. Dlatego nie chciał, żebym go malował. Patrzę na Aniołka i zastanawiam się: wyuczony czy samorodny talent? Nie wierzę w takie talenty pojawiające się znikąd. Nad sukcesem trzeba popracować. Skrzydła są jak żywe: pasują cienie i światło. Zapewne Maks zabronił mu przyznawać się do czegokolwiek. Zaczynam rozumieć, dlaczego mu tak zależy na Aniołku. Jeśli on tylko wtedy tak maluje, gdy się naćpa i nawet nie jest tego świadomy? Jednak nie. Raczej jest coś z prawdy w tym, że znalazł go z ogłoszenia w internecie jako ewentualnego pomocnika i inspiratora pomysłów. Przyglądam mu się uważnie; może jest starszy niż się wydaje. Małe dłonie, duże stopy i zapowiedź wąsa pod nosem; typowy nastolatek. Sposzrega moje zainteresowanie

i z lekka się płoszy. Dobrze już mi znanym ruchem głowy spuszcza na oczy zasłonę z włosów i staje się niewidzialny, jak gwiazda filmowa za ciemnymi okularami.

Gdy Aniołek zasypia – sprawdzam pozostałe obrazy, czy czegoś nie domalował, potem zamalowuję dokładnie skrzydła i chowam płótno na szafie. Swoje dzieła wykonuję samodzielnie, nie uznaję prac zbiorowych.

Skrzydła pojawiają się następnego dnia identyczne jak wcześniej – i przyznam, że się wściekłem. Robię awanturę Aniołkowi i zapowiadam, że jeśli znowu dotknie moich przyborów do malowania, zrobię mu coś złego. Trochę się przestraszył. Nic nie opowiedział, tylko znowu obserwuje mnie spod długich włosów. Nie widzę jego oczu i to mnie irytuje. Wychodzę na zajęcia trzaskając drzwiami. Zanim wróciłem zdołałem ochłonać; w końcu nic takiego się nie stało. Gdy wchodzę do mieszkania siedzi jak go zostawiłem; skulony w fotelu tyłem do nieszczęsnego obrazu. Zauważam, że się mnie boi.

Podgrzewam supę od mojej siostry, którą zjadamy nie odzywając się do siebie. Ostentacyjnie zamalowuję skrzydła i zamykam obraz w szafie na klucz.

Aniołek najwyraźniej bardziej się przestraszył. Oczu ze mnie nie spuszcza, jak kopnięty zwierzak w oczekiwaniu na następny atak.

Rankiem stwierdzam, że Aniołek zabrał swoje rzeczy, lekarstwa i znikł. Przyznam, że głupio się poczułem. Rozglądam się, czy niczego nie ukradł. Jego odejście mnie nie ucieszyło. Nie wyobrażał jeszcze po chorobie i jeśli nie miał gdzie pójść, to mógł tu jeszcze zostać. Ostatecznie nawet się do niego trochę przyzywałem. Postanawiam poszukać go na dworcu. Spodziewam się znaleźć go nastroszonego jak zmarznięty gołąb, czekającego na pociąg do nikąd.

Nie ma go tam. Ani na peronach, ani w poczekalni, nigdzie...

Dzwoni Maks i nie przyznaję się, że jego model odszedł. Mam nadzieję, że wróci.

Wyjąłem obraz szafy i nawet się nie zdziwiłem, gdy zobaczyłem znowu skrzydła. Otworzyć prosty zamek – drobiazg. Po namyśle biorę żyłkę i zbliżam ją do płótna. Nigdy do tej pory nie zniszczyłem żadnego swojego obrazu. Przemalowywałem je, raz jeden niechcący podpaliłem, gdy żelazkiem chciałem coś skorygować; ale żeby pociąć – to nie.

Płótno jest twarde i żyłka nie może go naciąć. Przyciskam mocniej, powierzchnia ugina się lekko i trach.... Na skrzydle pojawia się krew.

Odruchowo wkładam palec do ust i gapię się na ostrze wbite w skrzydło. Po szarych piórach leniwie wędruje czerwona strużka. Palec wygląda na cały, nie ma nawet draśnięcia. Szybko wyciągam żyłkę, bo czuję się tak, jakbym kogoś zranił. Ponownie zamalowuję skrzydła i długo siedzę w oczekiwaniu, czy coś się stanie.

Ostatecznie zirytowany, że dałem się wciągnąć w te gierki wynoszę obraz do schowka na korytarzu i postanawiam już o tym nie myśleć.

Przed samymi świętami wraca Maks. Nawet się bardzo nie dziwi, gdy mu mówię, że Aniołek przepadł.

– Tak myślałem, że z nim długo nie wytrzymasz – stwierdza.

– Sam odszedł. Nie mogłem go więzić.

Ma mizerną, pobladłą twarz z różowymi śladami po ospie. Patrzy na mnie z nadzieją.

– Może go znajdę?

– Może – nie przyznaję się, że już parę razy go szukałem.

Zastanawiam się, czy mu powiedzieć, że wiem, kto był współtwórcą jego sukcesu.

– Dam ogłoszenie, może wróci.

– Wróci – przytakuję.

– Portretowałeś go? – pyta.

– Nie – kłamię. – Wolę malować dziewczyny (to akurat prawda).

– Jakby się zjawił... daj znać.

– Jasne.

Obaj unikamy dokładniejszego wnikanania w fenomen małego artysty.

Wiem jednak, że Aniołek już się nie zjawi. Jeśli raz w życiu spotka cię coś niezwykłego – to nie licz na to, że raz jeszcze będziesz miał takie szczęście. Widziałem jego ogłoszenie w internecie: „Poszukuję modela do portretowania za mieszkanie z wyżywieniem. Artysta”.

Gdy Maks wychodzi przynoszę ze schowka obraz, który przed nim schowałem. Wieszam na ścianie portret chłopca w za dużej piżamie, o szarych pokrławionych skrzydłach, które znowu się pojawiły. Chyba wolę wierzyć, że sam to namalowałem i nic, poza podejrzanym skretem, tamtego wieczora mnie nie spotkało. ♦



Lucyna Kurpiewska

OPĘTANIE

Czy zdarza ci się spoglądać wstecz, gdy idziesz wieczorem ulicą? Czy czujesz dziwny niepokój, który nagle ogarnia cię nie wiadomo skąd? Czy kontrolujesz myśli powstające wówczas w twojej głowie? Ja obracam się za siebie nawet w trakcie dnia – przeżycia, jakich doświadczyłem nie pozwalają mi zapomnieć...

Jestem absolwentem Wydziału Sztuk Pięknych, o specjalności konserwacja dóbr kultury i ratowanie dziedzictwa narodowego, Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. 16 września dołączyłem do ekipy naukowców restaurujących kalwarię wejherowską. Nie muszę mówić, jak dużym prestiżem było dla mnie wzięcie udziału w tak wielkim projekcie; tym bardziej, że pilotowały go same znakomitości z branży.

Pierwszy raz gościłem wówczas w Wejherowie. Prawdę powiedziawszy – niewiele wiedziałem o tym mieście. Było czymś w rodzaju perły zakopanej w piasku. Piękne kamienie sąsiadujące z ruderami. Czystość i brud. Szykowne, ufryzowane towarzystwo rozsiadłe po kawiarniach pachnących lokalnymi wypiekami i żule z czerwonymi nosami pijący w ciemnych, obdrapanych bramach.

Duże wrażenie wywarły na mnie przepiękne lasy wejherowskie, wijące się jak serpenty pagórki poprzeplatane głębokimi jarami. Rosła roślinność ustrojona w barwy jesieni wyznaczała granice miasta. Za nim, w południowej części rozpościerała się kalwaria, dzieło zainicjowane przez bogobojnego Jakuba Wejhera, założyciela Wejherowa.

Jak wielką charyzmą obdarzony był Wejher i ile trudu kosztowało go wypełnienie swego ślubowania – wiedzą tylko ludzie obdarzeni wyobraźnią. Nie wszyscy są bowiem w stanie uzmysłowić sobie, jak ogromnym przedsięwzięciem było przywiezienie z Jerozolimy świętej ziemi, która stała się fundamentem kaplic, znalezienie architektów, rzemieślników, dostarczenie surowców, wykonanie pomiarów. Uskrzydlała mnie sama świadomość dotykania tego dzieła sprzed wieków, liczącego bez mała 350 lat. Nieduże kapliczki przemawiały do mnie zgrabną formą, zmyślną konstrukcją i nowatorstwem odzwierciedlającym ducha tamtych czasów. Obcowanie z „wejherowską Jerozolimą” rekompensowało mi zimno zgrabiących dłoni, przemęczenie, przeziębienie i niedospanie.

12 listopada wyskoczył nam spod cienkiej warstwy tynku fresk. Tak łaskawa okazała się dla nas kaplica Przybicie do Krzyża. Sakowski, dumny jak paw, zadzwonił do Torunia, a profesor Bremer z ogromnym zaangażowaniem przystąpił do analizy i rekonstrukcji znaleziska. Nasza czujność została wzmożona, gdyż nikt tak na prawdę nie był w stanie powiedzieć, co jeszcze kryje przed nami kalwaria.

Jak na zawołanie – kilka dni później w Pałacu Heroda, pod cienką warstwą tynku, znalazłem tajemnicze zawiniątko. Nieoczekiwane znalezisko wywołało u mnie euforię szczęścia i dziwny niepokój. Chęć poznania przeważała nad zdrowym rozsądkiem, nie podzieliłem się swoim odkryciem z kolegami. Złamałem regulamin - i mały pakunek spoczął na dnie mojej kieszeni; tymczasowo, jak sobie tłumaczyłem. Chciałem jako pierwszy zgłębić jego przekaz, ale w obecnych warunkach nie było to możliwe, gdyż zaczynało zmierzchać, co oznaczało dla nas koniec pracy. Czy oszalałem? Nie wiem. Wszystko działa się tak szybko. To było moje pierwsze poważne odkrycie. Być może chciałem się wykazać.

W hotelowej restauracji, gdzieś około szóstej, spotkałem Julię, od niedawna asystentkę Bremera na katedrze malowideł naściennych. Młoda i zgrabna blondynka, świadoma swych wdzięków, widocznie oczarowała także starego profesora, skoro wziął ją do projektu mimo jej niewielkiego doświadczenia. Siedziała przy stoliku koło okna sącząc kawę Latte. Wyglądała bosko, mimo że na nogach była od szóstej rano. Pachniała czymś w rodzaju lawendy, a może jaśminu... Sam nie wiem.

- Jak możesz pić to świństwo, i to jeszcze wieczorem? – zagaiłem zaczepnie
- A ty jak możesz tyle jeść, a do tego nie tyć! To niesprawiedliwe!
- Może podyskutujemy na ten temat później w moim pokoju.
- Jesteś bardzo pewny siebie, harcerzyku!

Nigdy nie należałem do harcerstwa – więc nie wiem, czemu tak mnie nazwała. Byłem raczej typem samotnika-indywidualisty. W każdym razie nie narzekałem na brak towarzystwa, zwłaszcza kobiet. Z Julią spotykaliśmy się od czasu do czasu; był to raczej drobny romans, nic wielkiego. Nie chcieliśmy rozgłosu, zwłaszcza w środowisku.

W małym, przytulnym pokoiku na poddaszu rozwalilem się na łóżku. Czulem zmęczenie, ale wiedziałem, że nie mogę pozwolić sobie na drzemkę. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem mały pakunek. Odwinąłem warstwy starego barchanu i wyciągnąłem ukrytą w nich małą, skórzaną sakwę, kryjącą pięć starych monet. Na każdej z nich widniał wizerunek brzydkiego jegomościa otoczony napisem: WILHELM*VORSTENBEGR*D*G*M*LIVON. Z drugiej zaś strony – brama z dwiema wieżami, lwią głową i skrzyżowanymi kluczami, z nic nie mówiącymi słowami: *MONETA *NOVA* RIGENSI*.

Moje rozmyślania rozwiąło cichutkie pukanie do drzwi. Odruchowo, lekko podenerwowany, wrzuciłem mój „skarb” do szuflady szafki nocnej, tak by nie wyszedł na jaw fakt jego posiadania. Otworzyłem drzwi, ale na korytarzu nie było już nikogo. Pomyślałem, że to może Julia drażni się ze mną; poszedłem sprawdzić, ale w jej pokoju było ciemno, przynajmniej na to wskazywała mała szpara pod drzwiami. Śpi albo nie wróciła jeszcze z restauracji – pomyślałem. Prawdopodobnie ktoś się pomylił i zapukał do niewłaściwych drzwi. Sięgnąłem ponownie do szuflady. Pięć takich samych srebrnych krążków lśniło w poświacie nocnej lampki.

Chciałem jak najszybciej zidentyfikować monety – równocześnie nie afiszując się z ich posiadaniem. Fotografie awersu i rewersu umieściłem anonimowo na forum numizmatycznym w Internecie, z prośbą o pomoc w określeniu chronologii i miejsca występowania bilonu. Mój post wywołał burzę mózgow i w krótkim czasie otrzymałem upragnione wyjaśnienia. Pochodziły z Inflant, z mennicy Dahlen z połowy szesnastego wieku; ale co u licha robiły w Wejherowie? To nie mógł być przypadek...

Nazajutrz po pracy z lokalnej biblioteki wypożyczyłem wszelkie możliwe książki związane z historią Wejherowa. W któreś z nich musiało kryć się rozwiązanie mojej zagadki. Na pytające spojrzenie Julii odpowiedziałem, że chcę się czegoś dowiedzieć na temat tego miejsca, bo bardzo mi się podoba. Grymasem twarzy uwiarygodniłem mój blef i odciąłem się od dalszych pytań.

– Tomek, idziesz z nami do pubu na piwo? – rzucił jeden z kumpli z pracy, chyba Tarnowski Michał... czy Marcin...

– Tomek dzisiaj czyta – kąśliwie odpowiedziała niezadowolona Julia.

– Dzięki, stary, dołączę do was później – rzuciłem na odczepnego.

Po trzech godzinach lektury stałem się ekspertem w tematyce grodu Wejhera. Otóż doczytałem się, że dziadek Jakuba – niejaki Ernest, będący na służbie króla Zygmunta Augusta – okazał się bardzo zdolnym dowódcą. Swój oddział zwerbował na Pomorzu Zachodnim, ale walczył głównie w Inflantach. W 1563 roku zdobył tam i złupił zamek Dahlen, położony nieopodal Rygi. Niemożliwie wzbogacił się zagarniając skarby warte 110 tysięcy złotych, podczas gdy jego roczna pensja wynosiła wówczas tylko (a raczej aż) 500 złotych. Ponieważ starsi synowie pułkownika byli bezdzietni albo zmarli młodo – fortuna przeszła na czwartej w kolejności Jana, który oprócz godności senatorskiej dochował się czterech męskich potomków. Ponieważ najstarszy Ernest (wnuk protoplasty) zmarł młodo, a średni syn Mikołaj złożył śluby czystości i zasilił szeregi duchowieństwa, większa część dziedzictwa przypadła Jakubowi – założycielowi miasta. Jednak niespokojne czasy, w jakich przyszło mu żyć, zmusiły go do zabezpieczeniu majątku przed dostaniem się w niepowołane ręce najeźdźców z Północy. Za namową szlachetnego archidiacona pomorskiego Mateusza Jakuba Judyckiego i w obawie przed potopem szwedzkim Wejher ukrył skarby dla przyszłych pokoleń. Niestety, zdaniem autora czytanej przeze mnie publikacji, wszystko bezpowrotnie przepadło w wojennej zawierusze.

Zamknąłem książkę i nagle poczułem niesamowitą suchość w ustach. Moje ciało na całej jego długości pokrył zimny pot. Uzmysłowiłem sobie, jak bardzo mylił się ów historyk. Przecież te monety to dowód na to, że nie wszystko jeszcze stracone... One gdzieś tam są... Czekają na swego odkrywcę...

Moje odkrycie wprawilo mnie w ogromne poruszenie, wręcz podniecenie; nagle poczułem, że mój malutki pokój jest dla mnie zbyt mały, muszę wyjść, zażyć świeżego powietrza, ochłoniąć. Jakoś nie dowierzałem, że to wszystko dzieje się naprawdę. Przecież skarby są wymysłem ludzkiej wyobraźni, istnieją tylko w bajkach albo w opowieściach zachłannych osób. Chciałem krzyknąć, podzielić się swą radością z całym światem, ale zdrowy rozsądek i ryzyko zawodowe kazały mi jednak zachować milczenie. Tak, targany własnymi przemyśleniami, dotarłem do baru, gdzie od progu było słycać balującą ekipę z Torunia.

– Sie masz, Tomek! Brakowało nam ciebie – wykrzyczał ochryplym głosem zalany już kolega Sakowski, ten od fresku.

– Troszkę spóźniony, ale zaraz was dogonię! – odrzekłem, bo naprawdę było tam bardzo głośno. Rzeczywiście nie rzucałem słów na wiatr i po pół godzinie byłem już nieźle wstawiony. Gdzieś tam z oddali, co jakiś czas, rejestrowałem pogardliwe spojrzenie Julii; ale wiedziałem, że i tak wybaczy mi tę chwilę słabości. Tym bardziej, że nadobny profesor Bremer leżał już prawie pod stołem i w niczym nie przypominał szanowanego naukowca.

Nad ranem obudziłem się w łóżku Julii. Nie gniewała się już na mnie, więc nie wracałem do tematu. Pośpiesznie wziąłem prysznic – i czysty, choć spóźniony, stawilem się na kalwarii. Mając w pamięci wczorajsze odkrycie nie mogłem się skupić na pracy. Świadomie lub podświadomie szukałem miejsca – skrytki doskonałej. Musi być gdzieś tu blisko, prawdopodobnie w tej kaplicy. Poszukiwanie było dla mnie wielką udręką, ponieważ musiałem zachować dyskrecję.

– Wiesz, muszę ci o czymś powiedzieć – wydusiłem z siebie.

– Nie lubię takich rozmów. Zaraz powiesz mi, że to koniec, że nie pasujemy do siebie itepe, itede – zachnęła się podenerwowana Julia.

– Nie, ale ja nie o tym... Nie chcę nic zmieniać, jest mi dobrze.

– Nie? - odrzekła zdziwiona jak mała dziewczynka, której rodzice odmówili cukierka.

– Miałem ostatnio szczęście... i udało mi się coś znaleźć. Mówię o pracy.

– Tak? Co to takiego? Bremer już wie?

– Nie! Do diabła z Bremerem! To delikatna sprawa, wymaga dyskrecji.

– Słucham. Wiesz, że możesz mi zaufać – zachęcała przyjaźnie.

– Te książki wczoraj... Na kalwarii jest coś ukryte... – spojrzałem badawczo na jej wyraz twarzy, była poważna i skupiona – Skarb rodu Wejherów – wyszeptalem.

– Wyczytałeś to? – spytała badawczo.

– Nie, znalazłem jego namiastkę, ale wiem, że on gdzieś tam jest. Musisz mi pomóc. Wiem, że jestem już blisko, czuję to.

Z zaciekawieniem obejrzała monety i wysłuchała wszystkiego, czego dowiedziałem się na ich temat. Kiedy skończyłem swój wywód przyznała mi rację. W jej oczach dostrzegłem jakiś nowy błysk – coś, czego wcześniej nie widziałem. Połączyła nas tajemnica i... ryzyko utraty pracy.

Jeszcze tego samego wieczoru ruszyliśmy do Pałacu Heroda. Uznaliśmy, że to najlepsza pora na takie poszukiwania, ponieważ po pierwsze będziemy sami, po drugie – jeśli coś znajdziemy ciemność będzie najlepszą osłoną.

Kalwaria po zmierzchu wyglądała wyjątkowo upiornie. Ogromne dęby, grube buki i zgrabne jesiony przyglądały się nam spod swych na wpół wyłysiałych koron, trzęsąc na wietrze rozpostartymi ramionami. Alejki, za dnia czarujące swym wdziękiem, w nocy przypominały kręty labirynt. Kapliczki otulone drzewami chowały się w ciemnościach.



Przy pomocy wyświetlacza telefonu, pełniącego rolę latarki, udało się nam dotrzeć pod Pałac Heroda. Pagórek, na którym stał za dnia, w nocy wydawał się jeszcze wyższy, a schody do niego prowadzące jeszcze bardziej strome. Przy pomocy nowoczesnych urządzeń, jakimi dysponowaliśmy przy pracach konserwatorsko-renowacyjnych, zaczęliśmy swe nielegalne i ryzykowne poszukiwania. Przetrzęsaliśmy w podczernieni wszystkie ściany i elementy drewnianego ołtarza oraz za, pomocą detektora metali, dokonaliśmy analizy podłoża. Ale urządzenia nie rejestrowały tego, po co tu przyszliśmy.

- One muszą gdzieś tu być, może niekoniecznie w tej kapliczce, ale na pewno na kalwarii - poczułem się jak Marco Polo poszukujący przygody.

- Zmarzłam trochę... - wtrąciła nieśmiało Julia.

- Cicho! - szepnąłem; i w od razu zamilkliśmy na chwilę - Ktoś tu chyba jest. Słyszałaś? - o uszy obił mi się jakiś dźwięk jakby trzaskającej pod stopami gałęzi.

Pośpiesznie wyszliśmy z kapliczki i obeszlśmy ją naokoło, ale nikogo nie zauważyliśmy. Było jeszcze ciemniej niż wcześniej. Po niebie płynęła zaledwie ćwiartka księżycyca.

- Może to ktoś od franciszkanów - zaśpiewała szeptem Julia.

- Nie wiem. Wyośmy się stąd. Pomyślimy w hotelu.

Kiedy Julia brała prysznic sięgnąłem ponownie po moje wejherowskie lektury. Szukałem czegoś, co naprowadzi mnie na jakiś trop. Szukałem wskazówki. Posłużyłem się chronologią i wydedukowałem, że do potopu szwedzkiego kalwaria liczyła aż osiemnaście kaplic, a dziewiętnasta - Pałac Heroda właśnie - nie była jeszcze ukończona. Rezultaty jak dotąd nie były zbyt optymistyczne, dlatego dążyłem do zawężenia pola poszukiwań.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Otworzyłem je, ale korytarz świecił pustką.

- Kto to był? - spytała zaciekawiona Julia, która właśnie z wielkim turbanem na głowie opuściła zaparowaną łaźienkę.

- Nie wiem, pewnie nikt ważny - odpowiedziałem zdawkowo.

- Myślałam, że ktoś pukał - powiedziała zdziwionym głosem, ale ja nie chciałem jej denerwować. Po co ma wiedzieć, że jakiś pajac bawi się ze mną w kotka i myszkę. Zresztą to nieistotne.

- Pierwszy Upadek Chrystusa - rzuciła zniecka.

- Co? - jej słowa pozbawione kontekstu brzmiały jak bezsensowny bełkot.

- Ufundował ją ksiądz Mateusz Judycki, wielki przyjaciel Wejhera - ciągnęła cierpliwie.

-Tak! Jasne! Ze też sam na to nie wpadłem! To on namówił Wejhera do ukrycia skarbu! - parsknąłem podekscytowany. Przecież to takie oczywiste! Układanka sama się układa.

- Ale skąd o tym wiesz? - zapytałem zdziwiony.

- Też mam swoje źródła - uśmiechnęła się tajemniczo; a ja pomyślałem, że przez ten uśmiech mógłbym stracić głowę.

Była drobną smukłą blondynką o delikatnych rysach. Jej długie mokre włosy opadały uwite w kosmyki na twarz, szyję i ramiona. Patrzyłem z zaciekawieniem, jak je rozczesuje. Jak smaruje swe pełne usta kremem. Miała urodę i charakter, do tego otwierała się przed nią niezła przyszłość naukowa. Cieszyłem się i byłem dumny, że spotyka się właśnie ze mną, chociaż poderwałem ją w dość tuzinkowy sposób, w barze akademickim. W jej spojrzeniu było coś prowokującego, a równocześnie niewinnego - Lolitka i Madonna w jednym. Trzepotała długimi rzęsami, jak motyl skrzydłami, a ja uświadomiłem sobie, że muszę ją zdobyć. Jako trofeum nadal nie straciła na atrakcyjności. Nie była typem panienki na jedną noc. Wtuliłem się w jej włosy, a ona opłotła mnie swym pachnącym i delikatnym ciałem. Była piękniejsza niż dwa dni temu i tydzień temu.

Nad ranem obudził nas głuchy telefon. Zadzwoniłem do recepcji, ale portier zakomunikował mi, że z nikim nie łączył rozmowy. Pomyślałem, że to może któryś z chłopaków zaserwował mi pobudkę.

Rano podpuściłem Bremera w celu uzyskania informacji, czy franciszkanie pełnią jakąś nocną straż na kalwarii. Zresztą chciałem wywyżczyć, czy może ktoś nas wczoraj widział - nawet nie personalnie, ale czy nie zarejestrowano jakiś kręcących się o zmierzchu po kalwarii ludzi. Wyglądało jednak na to, że mnisi skupiają się bardziej na modlitwach i życiu

klasztornym; zaś tajemniczy ktoś, którego obecność wyczuliśmy, mógł być bezdomnym albo zwyczajnym pijącym w lesie menelem.

– Panie Tomaszu, coś czuję, że jest pan oczarowany tym miejscem. Nie da się tego ukryć.

Spojrzałem na niskiego łysiejącego grubaska, gdzieś około sześćdziesiątki ze wzrokiem na wysokości mojej brody.

– Tak, panie profesorze, to miasto ma duszę – z impetem uderzyłem w romantyczną nutę starca, będącą jego słabością. Jakub Bremer za sprawą matki – rodowitej wejherowianki – był pół Kaszubą, a za sprawą wielkiego fundatora i dobroczyńcy miasta spadkobiercą jego imienia. Wciąż posiadał tu rodzinę, która z radością gościła go, z małymi przerwami, od ponad roku.

– Tomek, rzuć próbniki do Pierwszego Upadku, musimy przeanalizować pigmenty – rzuciła zza moich pleców Julia.

– Nie, pani Julio, na to za wcześnie, ta kapliczka musi jeszcze poczekać – zakomunikował profesor.

Od razu zrozumiałem, o co jej chodziło. Tak jak ja nie mogła się doczekać, żeby zacząć działać. Jednak dzień był dla nas zdradliwą porą, a sprawa nie wymagała tak wielkiego pośpiechu.



Tak jak zeszyłem razem wróciliśmy na kalwarię o zmierzchu. Zaczęliśmy poszukiwania; tym razem obiekt był dużo mniejszy. Pierwszy Upadek Chrystusa upamiętniony został wolnostojącą statua z piaskowca, pod piaskowcowym baldachimem wspartym na czterech opilastrowanych filarach. Budowlę z pruskiego muru dostawiono pod koniec XIX wieku, w celu ochrony przed szkodliwymi czynnikami atmosferycznymi. Podczerwień nic nie wykazała, zaś grunt wokoło był zbity, ale bez niespodzianek. Poza dwoma kapslami i gwoździem nic nie krył w swych wiekowych warstwach. Wracaliśmy niepokieszeni.

W końcu zostało nam jeszcze siedemnaście kaplic.

– Nic z tego nie rozumiem, przecież idziemy dobrym tropem – rzuciłem poirytowany

– A może te pieniądze, ukryte niczym srebrniki, miały nam wskazać Pocałunek Judasza? To fundacja samego Wejhera i mieści się chronologicznie.

– Tak, to ma sens; chodźmy tam!

Tym razem wzięliśmy ze sobą latarkę, ale po trzech godzinach eksploatacji padła nam i musieliśmy przerwać poszukiwania w tej kapliczce, bo noc była jeszcze ciemniejsza niż wczoraj, a do tego intensywnie padało.

W hotelu zamknięto już restaurację, ale ciągle można było skorzystać z baru. Przebraliśmy się spiesznie w suche ubrania i skoczyliśmy na dół. Ja po bourbona, Julia po swoją ukochaną sherry, tak przed snem. Po czym grzecznie rozeszliśmy się, każde do swojego pokoju.

Następnego dnia odwołano renowację, bo pogoda wymusiła na nas przerwę. Zbyt duża wilgotność powietrza nie sprzyjała naszej pracy. Ucieszyłem się, że wreszcie mogę się wyspać – tym bardziej, że w nocy odebrałem trzy głucho telefony. Za trzecim razem mocno zwymyślałem delikwenta i dał mi spokój. O co w tym chodzi? Dlaczego ktoś mnie niepokoi?

Utkwiłem w hotelu, podczas gdy moi koledzy wyruszyli na podbój Trójmiasta. Julia chciała przejść się po jakichś babskich sklepach, więc podwójnie cieszyłem się z dokonanego wyboru. Zasnąłem i przyśniło mi się, że jestem na kalwarii z jakąś dziewczyną. Wkoło otacza nas dość gęsta mleczna mgła. Jest zimno i nieprzyjemnie. Szukam w ziemi zakopanej skrzyni, ale jej gliniasta struktura z trudem pozwala mi przebić się przez kolejne powłoki. Jestem bardzo zmęczony, ale wiem, że nie mogę teraz się poddać. Kopię głębiej

i głębiej. Jesteśmy nieopodal Cedronu, poznaję małą rwącą rzeczkę, której nurt porywa kolorowe liście i wygląda bajkowo. W końcu pod szpadłem wyczuwam jakiś opór, czuję ostry przypływ adrenaliny. Kopię coraz ostrożniej i szybciej, wygarniając ciemny piach odgradzający mnie od prawdy. Zamiast skrzyni znajduję na wpół rozłożone ciało mnicha, prawdopodobnie franciszkanina. Poznaję po brązowym habicie z wielkim kapturem oraz jasnym, grubym sznurze, który zamiast w okolicy pasa znalazł się zaciśnięty wokół jego szyi. Prerażony wpadam w panikę, nie wiem co robić, nigdy przedtem nie widziałem martwego człowieka. Ciało na wpół wyjedzone przez robaki wygląda jak zaschłe ciemne mięso. Ów brat nie miał już rysów twarzy. Jego włosy przypominały pukiel hydraulicznych pakul, jego zwłoki były już bardziej szkieletem. Ten sen ogromnie mnie zmęczył; tym bardziej, że nie mogłem się z niego wybudzić. Czułem osuwający się pode mną grunt, ale bezradnie nie mogłem przeciwdziałać. Moja ingerencja w czyjąś męczeńską śmierć wpawiła mnie w panikę. Naruszyłem porządek boski i ziemski.

Straciłem poczucie czasu i obudziłem się o trzeciej. Kiedy to większość narodu właśnie o tej porze zwykle wraca z pracy – ja przecierałem leniwie oczy, po czym zszedłem na obiad do pobliskiej knajpki z napisem KEBAB. Ocucił mnie świeży powiew powietrza. Na rynku dzieci bawiły się z gołębiami, karmiąc je i strasząc na przemian. Wielka chmara dachowców z radością rzucała się na każdą kruszynkę chleba, walcząc o najmniejszy kęs. Pomyślałem: jak to dobrze, że nie jestem gołębiem, nieustanna walka o miejsce w hierarchii i o posiłek mogłaby być męcząca.

Julia nie wróciła do hotelu na noc. Jej nieobecność trochę mnie zaniepokoiła. Bezskutecznie próbowałem się z nią skontaktować, ale nie odbierała telefonu. Pomyślałem, że może chciała pobyć sama, w końcu przez ostatnie dwa dni byliśmy praktycznie nierozłączni. Na pewno tak, chciała coś przemyśleć, urwać się i odpocząć, może zwyczajnie pojechała do rodziny –w końcu zaczynał się weekend. Nie musiałem przecież o wszystkim wiedzieć, nasz związek miał raczej luźny charakter.

Nad ranem obudził mnie telefon; od razu pomyślałem o tym wydzwanającym do mnie szaleńcu, już ja go odczuję głupich zabaw:

– Ty gnoju pierdolony! Odczep się ode mnie raz na zawsze!!! – warknąłem z nienawiścią, po czym ze słuchawki wydobył się lekko zmieszany głos:

– Czy rozmawiam z panem Tomaszem Zielińskim?

– Tak – mruknąłem ni to twierdząco, ni to pytająco, zdziwionym i zakłopotanym głosem.

– Komisarz Paweł Dopke z Komendy Powiatowej Policji, proszę jak najszybciej się do nas zgłosić.

– Czy coś się stało? – poczułem w głowie wielką pustkę, czego oni ode mnie mogą chcieć?

– Chcemy, żeby udzielił nam pan paru wyjaśnień. To wszystko – dodał zasadniczy głos w słuchawce. Pewnie wszystkiego dowiem się na miejscu, może to jakaś pomyłka.

– Dobrze, zaraz będę – odpowiedziałem i pospieszenie zamówiłem taksówkę. Byłem raczej grzecznym i spokojnym obywatelem, regularnie płacącym podatki, a jedynym moim wykozczeniem było przyniesienie tych monet z kalwarii. Według prawa – wszystko bowiem co znaleźliśmy w czasie renowacji należało do Państwa Polskiego, a ja wiedziałem o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Pomyślałem, że monety muszą zniknąć z hotelu, nie mogą ich również mieć przy sobie...

W dyżurce komendy wylegitymowano mnie, po czym zaprowadzono do małego ciasnego pokoiku ze starymi biurkami, gdzie urzędował komisarz Dopke. Rosły blondyn około trzydziestu pięciu lat, z małą blizną nad lewą brwią, od progu rzucił w moją stronę przenikliwe spojrzenie, jakby na dzień dobry chciał mnie wyczuć i odgadnąć wszystkie moje myśli. Przyjemniaczek – pomyślałem i podałem mu rękę na powitanie.

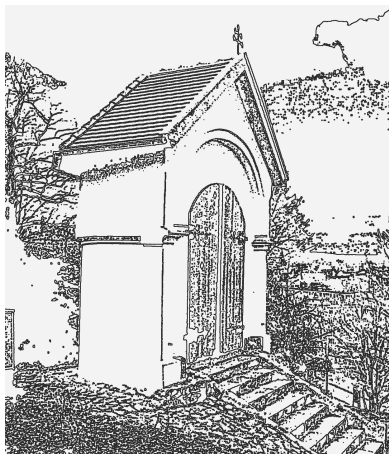
– Zawsze pan tak ciepło reaguje na telefony? – zaczął drwiącym tonem.

– Nie. Wziąłem pana za kogoś innego – próbowałem uciąć bezsensowną dyskusję.

– Czy ktoś panu grozi? – zapytał.

– Nie, raczej nie – pomyślałem, że jest wścibski.

- Gdzie był pan wczoraj w nocy między godziną 22:00 a 24:00? – zapytał poważnie, a jego głos zabrzmiał jakoś tak bardzo oficjalnie, oficjalniej niż wcześniej.
- Byłem w hotelu, dlaczego pan pyta? – odpowiedziałem na pytanie pytaniem.
- O tej porze została zamordowana Julia Wiśniewska.
- Zamordowana? – poczułem, jak cała krew spływa mi do głowy, a reszta ciała wchodzi w stan bezwładności. Gdybym nie siedział – pewnie bym się zachwiał. Słowa przed chwilą usłyszane brzmiały jak niesmaczny żart, ale nikt tu przecież nie żartował.
- Jak to? – nie mogłem w to uwierzyć – Kto to zrobił? Dlaczego?
- Czy pana zdaniem ofiara miała jakiś wrogów? Czy komuś mogło zależeć na jej śmierci?
- Nie, była lubiana, miała przed sobą znakomitą karierę - Odpowiedziałem bez zastanowienia, wciąż nie wierząc w słowa komisarza.
- Czy może pan udać się ze mną do kostnicy w celu identyfikacji zwłok? Zazwyczaj prosimy o to rodzinę, ale z racji, że państwo są przyjezdni, zrobimy wyjątek. Skinąłem głową, bo głos uwiązał mi w gardle.



Znaleźli ją półnągą w lesie, uduszoną prawdopodobnie jakimś grubym sznurem. Leżała z dziesięć metrów od kaplicy Pocałunek Judasza. W jej telefonie komórkowym kilka razy wyświetliło się, że do niej dzwoniłem.

Kobieta, którą pokazano, mi do identyfikacji była blado-sina. Jej włosy były potargane, pełne drobinek liści, ziemi i błota. Na szyi miała gruby krwisty ślad, a jej twarz wskazywała na walkę i cierpienie. Na brzuchu wypisano jej dziwny ciąg liter: VRSNSMVSMQLIVB. Sprawca ułożył ją na plecach, z twarzą skierowaną w stronę nieba, z rozłożonymi kończynami. W prawej ręce trzymała mały flakonik z przezroczystą substancją. Po wstępnej analizie zawartości laboratoryjnej okazało się, że owa ciecz to trucizna zwana potocznie arsenikiem. Jednak przyczyną zgonu było uduszenie nie zatrucie, dlatego policja uznała, że morderca jest zaburzonym psychopatą. – Tak, to ona – te słowa kosztowały mnie zbyt wiele.

Niewinna przygoda z poszukiwaniem skarbu przekształciła się w kryminalną historię z morderstwem ku przestrodze. Czułem, że jej śmierć nie była przypadkowa. Oznakowanie ciała i sposób jego ułożenia stanowiły swoisty przekaz. Morderca chciał mi coś powiedzieć, zastraszyć, sprawić, bym przestał szukać i interesować się odnalezieniem nieodnalezionego. I chyba osiągnął swój cel, gdyż poczułem się zagrożony. Jeszcze tego samego dnia zmieniłem hotel. Gdy odebrałem kolejny głuchy telefon – zdecydowałem o jak najszybszym opuszczeniu miasta.

Przed wyjazdem odwiedziłem kościół św. Anny. Pomodliłem się tam za spokój wieczny Julii i wstąpiłem do bocznej kaplicy, w której mieścił się ołtarz świętego Józefa oraz portret fundatorów Jakuba i Anny Wejher z domu Schaffgotsch. Spojrzałem na ścianę z wotami, gdzie obok medalików i różnych darów powiesiłem wcześniej sakwę z talarami z Dahlen. Tyle że, ku mojemu zdziwieniu, jej już tam nie było. Za to mój wzrok przybił jeszcze inny szczegół. Na jednym z medalików ofiarowanych jako dar serca zaobserwowałem znajome litery: VRSNSMVSMQLIVB.

Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Czułem ogromny mętlik w głowie. Te litery musiały mieć charakter religijny, być może stanowiły skrót jakiejś łacińskiej sentencji. Kim jest morderca? Skąd zna łacinę? Te pytania jak jad zatruwały mój umysł. Spojrzałem na wnętrze kościoła podświadomie szukając rozwiązania. Prócz kilku modlących się osób i mnicha gaszącego świece nic nie przykuło mojej uwagi. Ów duchowny ubrany był tak samo

jak ten z mojego niedawnego koszmaru, ale nie było to niczym nadzwyczajnym, gdyż był to tradycyjny strój ojców franciszkanów. Zagadnąłem go niby to przypadkiem, gdy przechodził obok mnie, i spytałem o sens tej konkretnej inskrypcji na medaliku. Brat w średnim wieku o pogodnej i sympatycznej twarzy spojrział na mnie wielkimi niebieskimi oczami pełnymi zdziwienia, po czym przyznał, że sam nie ma pojęcia – ale wie, gdzie możemy się tego dowiedzieć.

Udaliśmy się wspólnie do biblioteki klasztornej, która mieściła się tuż za kościołem. Pierwszy raz przebywałem w pomieszczeniach zakonu Braci Mniejszych Reformatów. Prawdę powiedziawszy pierwszy raz byłem w jakimkolwiek monasterze.

Biblioteka wyglądała imponująco. Wielkie woluminy, złożone grzbiety starodruków, mapy królowały ze specjalnie dopasowanych do nich regałów otaczających drobne stoliki z małymi lampkami, przy których siedzieli zakonnicy. Ku mojemu zdziwieniu obecność osoby świeckiej nie wzbudziła szczególnego zainteresowania. Usiedliśmy z bratem Ksawerym na samym końcu sali, po czym zakonnik dyżurujący przyniósł nam „Medale religijne odnoszące się do Kościoła Katolickiego we wszystkich krajach dawnej Polski” Teofila Rewolińskiego.

Czułem, że jestem bliski rozwiązania zagadki. Postanowiłem doprowadzić sprawę do końca. Byłem to winny Julii. Miałem ogromne wyrzuty sumienia. Niepotrzebnie wplątałem ją w to wszystko. Nie mogłem cofnąć czasu, ale starałem się chociaż zrozumieć – dlaczego?

Czy tak naprawdę można zrozumieć śmierć bliskiej osoby? Kogoś, kto mógł jeszcze założyć rodzinę i starzec się patrząc, jak dorastają jego dzieci?

Po kilku minutach znalazłem fragment modlitwy świętego Benedykta:

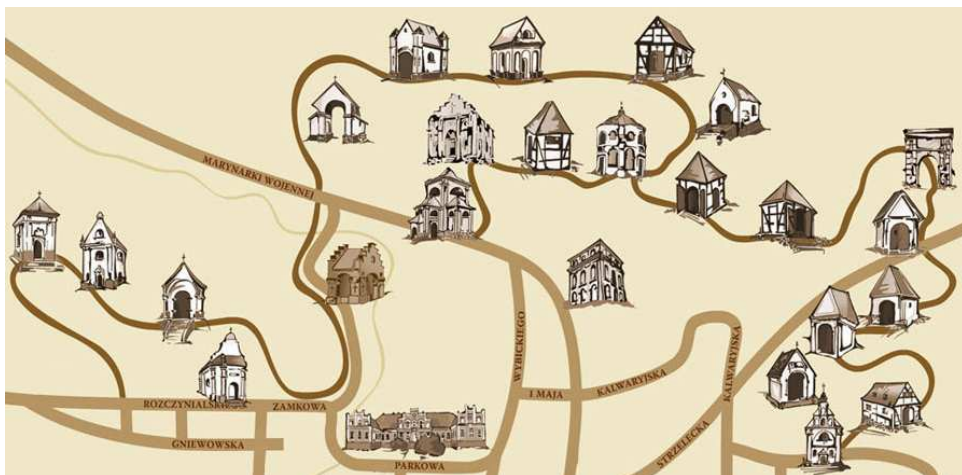
*Vade Retro Satana
Namquam Suade Mihi Vana
Sunt Maie Quae Libas
Ipse Venena Bibas*

Pierwsze litery tych wyrazów stanowiły klucz do rozwiązania zagadki. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale mimo wszystko zdziwiła mnie treść tego przesłania: *Idź precz szatanie. Nie doradzaj mi próżności. Złem jest to, co podsuwasz. Sam wypij truciznę.*

Byłem próżny chcąc odnaleźć resztę zaginionych talarów. Być może fiołka trucizny trzymana przez Julię w dłoni przeznaczona była właśnie dla mnie.

Nie zdołałem zdemaskować mordercy, moralizatora bawiącego się w Boga. Nie przeniknąłem do jego chorej świadomości. Dlaczego tak bestialsko przerwał nasze poszukiwania? Czy naprawdę byliśmy już tak blisko?

Nigdy nie pogodziłem się z jej śmiercią i ciągle miewam koszmary. Na jawie wydaje mi się, że widzę rzeczy, których inni nie widzą. Być może nigdy nie będę mógł żyć tak, jak kiedyś... Mimo wszystko moja bezsilność i cierpienie są lżejszą karą w porównaniu z tym, co spotkało ją... ♦



Marcin Szklarski

KONDENSATOR FINCKENSTEINA

– Panie prezydencie, czy pan mnie rozumie?

Grzegorz Nitkowski, wysoki, szpakowaty mężczyzna koło pięćdziesiątki, łysiejący na czubku głowy i z siwymi włosami, rozejrzał się niepewnie po pomieszczeniu. Otaczało go sześciu zadowolonych z siebie ludzi w białych kitlach - czterech mężczyzn i dwie kobiety - stojących między tajemniczą aparaturą, naszpikowaną diodami, pokrętłami i sterującymi luźno kablami. Nie, niczego nie rozumiał – stwierdził, patrząc na mężczyznę, który zadał pytanie. Czy ten człowiek nie może mówić po ludzku?! Krzywe Niccolo Flebitego, teoria Ormeńskiego... Do diabła, jestem politykiem, a nie fizykiem!

– Oczywiście, że rozumiem — powiedział prezydent, uśmiechając się dyplomatycznie.

– A więc mówi pan, że to cacko może narobić niezłego bigosu naszym wrogom?

Profesor doktor habilitowany Jacek Goliszewski, rozpromieniony szef Tajnej Grupy Badawczej A08, gruby rudzielec ze starannie przystrzyżoną hiszpańską bródką, zataił z radości ręce. Pochylił się nad sejfem, obrócił kilka razy pokrętko i wydobyl ze środka nieduże czarne pudełko z uchwytem, do złudzenia przypominające przenośne radio. Z wyrazem dumy na twarzy wręczył je Nitkowskiemu.

– Kondensator Finckensteina może zapewnić Rzeczpospolitej przewagę w każdej wojnie – powiedział, podczas gdy prezydent z zaciekawieniem przyglądał się potencjometrom, przełącznikom i małym ciekłokrystalicznym ekranom. – Jak pan widzi, to bardzo mały – ale i niezwykle śmiercionośny przedmiot. Niech pan to sobie wyobrazi – setki czolgów niszczone jednym naciśnięciem guzika!

– Jak to działa? — coraz bardziej zaciekawiony prezydent zaczął manipulować pokrętłami.

– Ostrożnie – Goliszewski, uśmiechając się nerwowo, zabrał mu przedmiot. – Siła rażenia tego cacka jest wprost niewyobrażalna... Zapraszam na demonstrację.

Jeden z naukowców otworzył ciężkie metalowe drzwi. Nitkowskiemu poprowadzono wąskim, obskurnym korytarzem; po chwili wszyscy znaleźli się na obszernym, otoczonym bardzo wysokim murem podwórzu. Znajdowało się tam kilka dziwacznych konstrukcji.

– Kondensator służy do zagęszczania materii – powiedział Goliszewski. – Pobiera energię z otoczenia i zagęszcza strukturę atomową w wybranym fragmencie przestrzeni. Jest to możliwe dzięki wykorzystaniu prawa dynamiki potencjałów Finckensteina. Właśnie dlatego jego nazwiskiem nazwaliśmy nasz wynalazek... Ale wszyscy pieszczotliwie nazywamy go żelazkiem - ponieważ "prasuje" materię.

Prezydent pokiwał z uznaniem głową, robiąc mądrą minę.

– Oprócz niszczenia, nasze żelazko może służyć również do budowania. Proszę to sobie wyobrazić: prasując cząsteczki, stworzymy najbardziej wytrzymały materiał na świecie, twardszy od stopów tytanu! – zapalił się naukowiec. – Tu ma pan miniaturowy szkielet wieżowca – wskazał na sieć prostopadłych, cienkich belek w czarnym, matowym kolorze. — Odpowiednio zbudowany, zapewni całkowitą ochronę przed trzęsieniami ziemi. A oto i sejf - nie do rozbicia. To z kolei model czolgu — zbliżyli się do matowo czarnej bryły przypominającej kształtem czolg. – Nikt nie będzie w stanie go zniszczyć! A oto droga – stanęli na kilkudziesięciometrowym odcinku dwupasmowej szosy, z wymalowanymi pasami. – Zmorą wszystkich państw jest szybkie niszczenie się nawierzchni. My zbudujemy autostrady płaskie jak naleśnik i idealnie równe, których nie trzeba będzie naprawiać kilkaset lat!

Prezydent z entuzjazmem pokiwał głową. To mu się podobało! Niedługo ogłosi to publicznie, akurat przed rozpoczęciem kampanii wyborczej... Potrzebował spektakularnego sukcesu, nie dawano mu wielkich szans na reelekcję... Pokaże jeszcze wszystkim przeciwnikom!

– Brawo, panowie! – powiedział oficjalnym tonem. – Fantastyczna robota! Namówię parę osób, żeby przyznali wam specjalne premie, a waszej grupie - dodatkowe środki. No i przydałyby się jakieś odznaczenia!

Czterej mężczyźni i dwie kobiety w kitlach pokraśniali z dumy. – Dziękujemy, panie prezydencie! – powiedział Goliszewski. – A teraz zapraszam na mały poczęstunek...

Prezydent i naukowcy wrócili do budynku Wojskowych Laboratoriów Technicznych w Grójcu i udali się w stronę gabinetu Goliszewskiego, gdzie stało już parę butelek. Sukces zespołu i państwa polskiego trzeba było uczcić.

*

Po wyjeździe prezydenta w laboratorium zapanowała dzika radość. Zachwycony prezydent! Premie! Zwiększenie funduszy! Medale! Szóstka naukowców na przemian wydawała z siebie nieartykułowane dźwięki i padała sobie w objęcia. Za jakiś czas wszyscy mogą być sławni! Spełniło się ich wspólne marzenie - gdy kilka lat temu rozpoczęli pracę nad żelazkiem, nikt nie spodziewał się tak szybkiego sukcesu.

– Olu, czy przywiozłaś zgrzewki z piwem? – Goliszewski zapytał doktor habilitowaną Aleksandrę Naumow, ubraną na czarno, przystojną blondynkę w średnim wieku. Schował żelazko do kieszeni - nie miał teraz głowy do grzebania przy sejfie.

Doktor habilitowana Aleksandra najpierw wydała z siebie dziki pisk, a następnie odparła:

– Wszystko mam w bagażniku. To kiedy jedziemy na imprezę?

– Natychmiast! – wykrzyknęli doktor Anita Kropotowska i magister inżynier Maciej Hein.

Już kilka minut później wszyscy naukowcy znaleźli się w samochodzie Naumow, obficie zaopatrzeni w trunki. Strażnicy na punktach kontrolnych w zaskoczeniu obserwowali podochocone towarzystwo - bez pytania wypuścili ich jednak z ośrodka. Upakowane do granic możliwości auto ruszyło w stronę mostu w Górze Kalwarii. Członkowie zespołu przepijali do siebie, żartując i głośno śpiewając.

W Kalwarii przystanęli na moment – Goliszewski wypił zbyt dużo piwa i musiał udać się do przydrożnego lasku za potrzebą. Po kilkunastu minutach, minąwszy Wisłę, zajechali pod pięknie utrzymany ogród w Grójcu i udali się do przytulnego saloniku profesora. Przyjaźnie powitani przez jego żonę, rozpoczęli mocno zakrapiane alkoholem przyjęcie. Ktoś miał przy sobie koniak, kto inny wino i wódkę. Raz w życiu nie chcieli się ograniczać - w końcu nieczęsto dokonuje się epokowego odkrycia! Odprężeni i weseli, raz po raz wznosili toasty.

Nagle zadzwonił telefon. Odebrał, uśmiechając się, Goliszewski. Chwilę później mina mu zrzędała, pobladł.

– Co jest?! — zawołała niewyraźnie doktor Kropotowska, która zdążyła już poczęstować się kilkoma kieliszkami koniaku. – Coś ty taki smutny? Napij się jeszcze!

Goliszewski nie odpowiedział, skorzystał jednak z propozycji. Wypijając kieliszek koniaku jednym haustem.

Dopiero po chwili obecni zorientowali się, że coś jest nie tak. Wciąż rozbawieni, ze zdziwieniem spoglądali na swojego szefa.

– Kondensator zniknął – wydusił z siebie profesor. – Nie ma go w laboratorium.

Zapadła martwa cisza.

*

Jaś Gocławski, drobny, kościsty blondynek, był tego dnia w wyjątkowo dobrym nastroju. Słońce świeciło i mocno przygrzewało, miał wakacje - a na dodatek dawno już nie wybrał się z kolegami na tak daleką wycieczkę. Uwielbiał jazdę na rowerze, zaś dziś dodatkową atrakcją był cel wyprawy: ruiny zamku w Czersku. Skończyli je zwiedzać pół godziny temu; teraz zatrzymali się w Kalwarii, gdzie Jaś musiał udać się na chwilę do przydrożnego lasku. Opróżniając pęcherz, zagwizdał wesoło pod nosem. Od strony ulicy dobiegały głosy jego dwóch towarzyszy.

Nagle jego wzrok przykuł dziwny przedmiot leżący w trawie. Załatwiwszy się, podniósł go i przyjrzał mu się ciekawie: był cały czarny, przypominał radio, pełno było na nim suwaków, przelączników i pokręteł. Postanowił pokazać urządzenie chłopakom.

Łukasz Wronecki i Stasiu Farny obejrzel je z błyskiem w oku - i zaczęli manipulować ustawieniami. – Wciśnij ten czerwony przycisk, ciekawe, co się stanie - powiedział pierwszy z nich do Jasia, po czym zachichotał.

– Ten z napisem "ZAPŁON"? — spytał Jaś.

Chłopiec dotykał już palcem guzika, gdy rozległ się głośny brzdęk. Wszyscy aż podskoczyli z wrażenia. Spojrzeli w tym samym kierunku: przewrócił się rower Łukasza. Jego właściciel paskudnie zaklął i podniósł go z ziemi.

– Dobra, później zobaczymy, co to jest – powiedział Stasiu. – Wsadź to na bagażnik. Jedziemy dalej.

Łukasz i Jaś – aczkolwiek z pewnym ociąganiem – przyznali mu rację. Przedmiot mógł trochę poczekać... a do przebycia mieli jeszcze ładny kawałek drogi. Kiedy wrócą do domu, czasu na zabawę będą mieli aż nadto.

Jaś przymocował przedmiot do bagażnika, wsiedli na rowery – i ruszyli w stronę pobliskiego mostu na Wiśle. Kilka minut później ustalili, że dziś wieczorem obejrzą urządzenie i sprawdzą, co potrafi.

*

– Jak mógł pan wynieść z laboratorium coś tak niebezpiecznego?! – pieklił się generał Andrzej Szcząchor, szef Agencji Kontrwywiadu we własnej osobie, pięćdziesięcioletni, gruby wążacz z siwymi włosami. – Nie mówiąc już o tym, że nikt pana nie powstrzymał, kiedy wynosił to pan z laboratorium. Może mi to pan wyjaśnić?

Nad laskiem w Górze Kalwarii zapadał właśnie pogodny, ciepły wieczór. Generałi Goliszewski ponuro obserwowali krzątających się wokół funkcjonariuszy w kominiarkach, uzbrojonych w wykrywacze metalu. Kondensatora jak dotąd nie znaleziono.

Profesor milczał. Wspominał wydarzenia z minionych godzin: kilka minut po telefonie przypomniał sobie, że zapomniał odłożyć wynalazek do sejfu. Gdy okazało się, że nie ma go już w kieszeni, cały zespół wpadł w panikę. Naukowcy z żoną profesora przeszukali cały jego dom, a następnie samochód. W końcu na jaw wyszła straszna prawda. Skoro żelazka nie było w Grójcu, mogło zostać zgubione tylko w jednym miejscu.

– Mógł pan dostać order, a dostanie parę latek. Na pana miejscu modliłbym się, żeby nasi chłopcy szybko to żelastwo znaleźli!

Jeden z funkcjonariuszy, wysoki i młody na oko, zamaskowany mężczyzna, podszedł do Szcząchora. – Panie generale, szukaliśmy już trzy razy. Nic tutaj nie ma.

Szcąchor i profesor spojrzeli na siebie. Generał wyglądał, jakby miał ochotę uderzyć Goliszewskiego. Spojrzał na niego z wściekłością. — I co teraz, panie naukowcu? Wie pan, co się stanie, jeżeli kondensator wpadnie w niepowołane ręce?

Profesor mruknął coś pod nosem.

– Co pan mówi?

– Kataklizm...

Porucznik uniósł oczy ku prześwitującemu za koronami drzew niebu. Zaklął cicho - i zawołał kogoś ze swoich podwładnych. Nakazał wysłać do akcji trzystu ludzi. – Niech sprawdzą, czy ludzie z okolicy nie widzieli, jak ktoś kręcił się w tym miejscu. Nie mówić, o co chodzi. Pytać każdego, kto się nawinie. Pukać do mieszkań. Musimy znaleźć to cholerstwo!

Podwładny zasalutował i udał się w stronę radiowozu, zaparkowanego przy pobliskiej ulicy. Goliszewski i Szcząchor ruszyli za nim. Nie mieli tu już nic do roboty - od tej pory wszystko zależało od sprawności podwładnych generała.

*

– A do czego służy to pokrętko? – spytał z ciekawością Staś, piegus z ogoloną czaszką. Siedzieli właśnie z Jasiem i Łukaszem w wysokiej trawie pośrodku polany, kilkaset metrów od skraju lasu. Przed nimi, ponad linią drzew, znad horyzontu unosiło się wschodzące słońce. Wokół ćwierkały ptaki, słychać było skądś stukanie dzieciątów.

Łukasz, niebieskooki brunet z długimi włosami i odstającymi uszami, trzymał w rękach tajemnicze znalezisko. Wieźli je do domu prawie pół dnia, po drodze zatrzymując się jedynie u Dziadka, mężczyzny poznanego podczas jednej z wypraw. Po powrocie Jaś szybko ukrył przedmiot w szafie - bał się, że rodzice odbiorą mu łup z Kalwarii. Tej nocy ledwie mógł spać. W końcu, ledwie na zewnątrz zrobiło się szaro, ubrał się i czmychnął z przyrządem w umówione miejsce. Koledzy również uwinęli się szybko - i pojawili się kilka minut później.

– Wciśnij ten przycisk, i ten też — domagał się Staś.

Jaś przyjrzał się ekranikowi umieszczonemu obok suwaka: wyświetlane były na nim jakieś litery i liczby, zmieniające się po poruszeniu mechanizmu. Niżej, pod dużym napisem

"CEL", na obudowie widniała tabelka, której pola wypełniały kolejne ekraniki. Poruszył pokrętle; obok słowo "kwadrat" zamieniło się w "koło", a następnie w "prostokąt".

– Może jakiś odtwarzacz? Pewnie tym czerwonym się go włącza. — Jaś uśmiechnął się i wcisnął czerwony guzik.

Powietrze wokół eksplodowało z ogłuszającym rykiem. Gorący podmuch rzucił nimi kilka metrów do tytułu. Jaś upadł boleśnie, uderzając się w łokieć.

Przez moment próbował złapać oddech. Chwilę później z wysiłkiem usiadł. Przez jakiś czas patrzył dokoła siebie w kompletnym oszołomieniu. Co to było?!... Spojrzał na kolegów: z jękiem gramolił się z ziemi. – W porządku?! – krzyknął. Dzwoniło mu w uszach.

– Tak!... – wysapał Staś. – Super!

Łukasz rozmasowywał sobie właśnie siniaka na nodze. – Ale czad! Nie ważcie się nikomu o tym mówić, bo nam to zabiorą!

Jaś kiwnął potakująco głową. A potem spojrzął przed siebie.

Pobliski trawiasty pagórek zniknął. Na jego miejscu pojawił się matowoczarny prostopadłościan. Ku niebu unosiły się z niego kłęby pary.

Łukasz i Staś zaczęli gapić się w tę stronę z wytrzeszczonymi oczami. Jaś tymczasem podszedł do monolitu i dotknął go ręką. Był jeszcze ciepły.

– Ale będzie jazda — szepnął do siebie.

*

Generał Szcząchor był naprawdę wściekły. Zdołał się przespać zaledwie trzy godziny, bolała go głowa – i do tej pory nie udało się odnaleźć kondensatora. W nocy zmuszony został przerwać poszukiwania – koło dwunastej nie było już kogo zaczepiać na ulicach Kalwarii. Nie osiągnęli dosłownie nic, poza wzbudzeniem burzy plotek wśród okolicznych mieszkańców. Wprawdzie jego podwładni wytypowali już ponad dwadzieścioro podejrzanych o przywłaszczenie urządzenia – paru nastolatków, kilka starszych babć, sporo dzieciaków – jednak od powstania rysopisów do znalezienia delikwenta droga była daleka. To było jak szukanie igły w stogu siana – a jeśli sprawca przyjechał z niedalekiej Warszawy, o dotarciu do niego mogli co najwyżej pomarzyć.

Kilka godzin temu generał w przypiływie desperacji skierował setkę ludzi do okolicznych miejscowości. Tonący brzytwy się chwytają... A nuż jakimś cudem się uda?

Spojrzał ponuro na wskazówki zegarka: dochodziła jedenasta. Co za cholerny dzień... Na dodatek co godzinę mógł się spodziewać natrętnych pytań ze strony kierownictwa. "Kiedy to w końcu znajdziesz?! Dzwonił premier..." Nie, totalna kłapa, kłęska, nic nie mamy!

Rozparł się wygodnie w fotelu służbowego mercedesa, zaparkowanego koło stacji benzynowej pod Kalwarią. Wyciągnął ze schowka kubek i nalał do niego kawy z termosu. Zaklął pod nosem.

Nagle zatrzeszczało radio. – Panie generale, coś mamy! – powiedział któryś z agentów.

Senność minęła Szcząchorowi jak ręką odjął. — Co? Gdzie?!

– Gacki nad Wisłą. To po drugiej stronie rzeki. Jakiś starszy człowiek. Mówi, że widział żelazko.

– Zaczekać na mnie! Będę tam za chwilę – rzucił podniecony generał. Cisnął kubek z kawą za okno, zapalił silnik i z wizgiem opon podjechał pod drzwi sklepu. Porucznik Gerard Lebioda, zastępca Szcząchora, niestaranie ogolony brunet w staromodnym berecie, wychodził właśnie na zewnątrz; z wrażenia upuścił trzymanego w rękę loda. Ponaglany przez szefa, zajął miejsce z przodu. Kilka sekund później ruszyli; pięć minut później, przejechawszy nad Wisłą, dotarli na miejsce.

Gacki okazały się niewielką osadą. Większość zabudowań stała po jednej stronie szosy, niedaleko pobliskiego lasu; na zachodzie srebrzyły się leniwe wody Wisły. Jeden z funkcjonariuszy czekał na nich na skraju jezdni i wskazał właściwą drogę. Po chwili zatrzymali się przed nieco odrapanym domem ze stryżkiem – tuż obok czarnego forda należącego do Agencji.

Przywitał ich jeden z funkcjonariuszy, wysoki, opalony brunet w żółtej krótkiej koszulce; to on wezwał Szcząchora. Obok czekał zasuszony, ale żwawy staruszek, niski i zupełnie łysy, w hawajskiej koszuli. – To pan? – spytał porucznik, odpowiedziawszy na jego pozdrowienie.

– Ja, a kto by inny? Nazywajcie mnie Dziadek. Wszyscy tak na mnie mówią. Tamte dzieciaki też...

– Jakie dzieciaki, panie... Dziadku? — spytał Szcząchor.

Generał i jego zastępca słuchali opowieści Dziadka z rosnącym podnieceniem. Żelazko zabrali trzej chłopcy, którzy często wpadali do niego z wizytą podczas przejazdów rowerowych. Nie byli rodziną, tak się jakoś zaprzyjaźnili. Ostatnio byli u niego wczoraj, wracali z ruin w Czersku. Pokazywali mu jakieś czarne urządzenie, pełno na nim było pokręteł i cyferkek... Nie zna nazwisk, ale wie, skąd przyjechali: z Łuczniczy, małej wsi pod Pilawą.

Funkcjonariusze Agencji westchnęli z ulgą. To był właściwy trop! Ich rozpaczliwe działania przyniosły efekt. Najwyżej za godzinę odzyskają kondensator!

– Dziękujemy, panie... Dziadku! – rzucił generał. Pogratulował blondynowi z Agencji sukcesu, pożegnał się ze starszym mężczyzną i wsiadł do samochodu. Lebioda uczynił to samo. Szcząchor odpałił silnik.

– Tylko nie zróbcie nic chłopakom! To dobre dzieciaki... — powiedział Dziadek.

– Oczywiście, że nie – skłamał generał, wciskając pedał gazu. Ruszyli w stronę szosy. "Tylko ich przesłuchamy – pomyślał. – W areszcie... Niech nauczą się trochę moresu."

Chwilę później mknęli już drogą. Kierowali się na wschód.

*

Jaś Gocławski z uznaniem spojrzął na swoje ostatnie dzieło: obok długiego szeregu matowo czarnych, metalicznych brył o prostokątnej podstawie stanęła ogromna kula, której dół zagłębiał się w ziemi.

Rozejrzał się dokoła: słońce na południu powoli zbliżało się do zenitu. Polana w lesie znacznie się w ostatnich godzinach zwiększyła; w miejscu, gdzie jeszcze poprzedniego wieczoru znajdowały się drzewa, widniały teraz dziwaczne, fantazyjne, postrzępione bryły. Obok Jasia jego dwaj koledzy otrzepywali pokryte kurzem ubrania i próbowali rozmasować siniaki; nabawili się ich przewracani falą uderzeniową, upadając na twardą, błyszczącą, przypominającą glazurę powierzchnię, która zastąpiła porośniętą trawą grunt.

Jaś był z siebie dumny: nikomu nie udało się jeszcze zrobić tego, co jemu! Podniósł z trawy fascynujące znalezisko z Kalwarii, które upadło tam podczas ostatniego wybuchu. Coś musiał w nim przestawić... Tylko co?

– Teraz ja! – krzyknęli nagle jednocześnie Staś i Łukasz – i rzucili się w stronę Jasia, próbując wyszarpnąć mu z rąk czarne pudło. – Ja chcę! – krzyknął Łukasz oburzonym tonem. – Moja kolej! – odkrzyknął Staś.

– Hej!... – zaskoczony Jaś próbował protestować. Jego koledzy tymczasem usiłovali wyrwać sobie przedmiot. Obaj złapali rączkę i ciągnęli w swoją stronę. Siłowali się dobrą chwilę – po czym Łukasz nagle puścił. Staś, zaskoczony, zatoczył się do tyłu, potknął – i wypuścił przedmiot z ręki.

Huknęło tak, że zadzwoniło im w uszach. Błysk całkowicie ich oślepił. Podmuch rzucił nimi brutalnie na drugi koniec polany. Jaś boleśnie uderzył w coś głową i wrzasnął z bólu.

Po chwili rozejrzał się niemrawo. Spróbował się poruszyć; jęknął. Ostrożnie sięgnął ręką ku okrutnie bolącej głowie; cofnąwszy ją, zaskoczaniem zauważył krew. Cały był potłuczony... Nieprzytomnie poszukał wzrokiem kolegów: obaj gramolili się z ziemi. Las za nimi zniknął – w jego miejscu parowała teraz ciemna, nierówna metaliczna tafla.

Nagle rozległ się ostry głos:

– Chłopcy! Co wy tu, do cholery, wyprawiacie?!

Jaś odwrócił się – i przeraził. Głos należał do zbliżającej się kobiety: blondynki w średnim wieku, z długimi włosami splecionymi w warkocz, ubranej w jasne dżinsy i prostą żółtą bluzkę.

Jaś jęknął. Jak się wytłumaczy mamie?

*

– Ten kondensator musi potrzebować strasznej ilości energii — powiedział porucznik Lebioda, próbując pocieszyć Szcząchora. – I tak nie uda im się go użyć.

Generał spojrzął na niego morderczym wzrokiem. – Nieprawda. Ten profesorek powiedziała, że do uruchomienia wystarczy cztery baterie paluszki. Które akurat były w środku.

Lebioda zrobił wielkie oczy, po czym zaklął. Długo i siarczyście.

Ponuro spojrzeli przed siebie. Wciąż siedzieli w służbowym samochodzie; kilkadziesiąt metrów przed nimi dźwięk usuwał z jezdni wraki dostawczego vana i opla, które jak na złość właśnie tego dnia, o tej porze i w tym miejscu musiały zderzyć się czołowo. Byli już kilka kilometrów od Łucznicy – chyba musieli jednak zawrócić i szukać innej drogi.

– Ma to i dobrą stronę – powiedział Lebioda, wskazując na sprasowane karoserie. – Przyjedziemy na miejsce jednocześnie z brygadą antyterrorystyczną.

Szcząchor pokiwiał głową. Brygadę wezwał kilkanaście minut temu – na wszelki wypadek; przy zgubach tej wagi niedopuszczalne było jakiegokolwiek ryzyko. Bał się zarówno nieodpowiedzialności dzieci, jak i dostania się wynalazku w niepowołane ręce; sam nie potrafił powiedzieć, która ewentualność była gorsza...

Podjął decyzję. Czekanie tu nie miało sensu, liczyła się każda minuta – kto wie, co mogły wymyśleć dzieciaki? Musieli dopaść ich jak najszybciej. Szcząchor zapalił silnik. – Wyciągaj mapę – powiedział do Lebiody i zawrócił.

*

Jaś był przerażony – wydało się! Co teraz z nimi będzie? Szykowało się duże lanie... Jeszcze nigdy nie widział mamy tak wściekłej i roztrzęsionej.

– Coście narobili?! Mogliście się zabić! – krzyknęła łamiącym się głosem. – Jak wam się udało zrobić takie pobjowisko?!

Staś rozglądał się tymczasem dookoła; po chwili znalazł to, czego szukał. Podeszedł do najbliższego monolitu, podniósł z ziemi znalezisko z Kalwarii i zbliżył się z nim do kobiety. – Tym się rusza – powiedział niepewnie, demonstrując zmienianie pozycji suwaka; na ekranie obok pojawił się napis „300 KM”. – A tym się to włącza – wcisnął czerwony przycisk.

Nic się nie stało.

Jaś, Łukasz i Staś popatrzyli na siebie w zaskoczeniu. Dlaczego tym razem nie zadziało? Mama, która przyglądała się scenie ze zgrozą, odetchnęła z ulgą.

– Daj mi to – powiedziała chłopcu; ten posłusznie spełnił polecenie. Przyjrzała się uważnie urządzeniu, oglądając je ze wszystkich stron. – No, na szczęście tym razem udało wam się nie wysadzić w powietrze lasu – stwierdziła sarkastycznie. – Zabie... Co to?

Od strony wsi dobiegły ich poszczekiwanie psów. Nasłuchiwali przez kilkanaście sekund: odgłosy zbliżały się. Jaś przeraził się jeszcze bardziej niż dotąd: wszystko zaczęło wymykać się spod kontroli. Co się działo? Czuł, że nie czeka ich nic dobrego.

– Chłopcy, chyba się doigraliście – powiedziała mama cichym, przestraszonym głosem. Spomiędzy brył na południowym skraju polany wypadły psy – i natychmiast rzuciły się w stronę dzieci i kobiety. Jaś krzyknął, gdy świat zawirował, a nad jego głową wyszczerzyły się ostre kły. Coś przyduśiło jego pierś; w przerażeniu usiłował się wyrwać, jednak natychmiast ze wszystkich stron otoczyły go wściekle, groźnie warczące pyski.

Nagle psy zniknęły z pola widzenia. Oszołomiony spojrzął na biegnących ku niemu zamaskowanych ludzi z pistoletami. – Tu jest! – krzyknął ktoś triumfalnie. Zaraz potem dwóch mężczyzn podniosło go z ziemi i skło z tyłu ręce. Rozplakał się.

Zaprowadzono go kilka metrów dalej. Spojrzął obok siebie: stali tam już Łukasz i Staś, ten drugi również zapłakany, oraz jego mama.

– Mamy was – wycedził siwy, gruby, antypatycznie wyglądający wąsacz w garniturze.

*

Kilkanaście minut później, gdy zatrzymanych zamykano w zaparkowanej na głównej drodze więziarnie, Szcząchor i Lebioda przybili sobie piątkę. Już dawno nie byli tak zadowoleni – misja zakończyła się pełnym sukcesem, żelazko spoczywało bezpiecznie w samochodzie otoczonym przez grupę antyterrorystów, a sam premier w rozmowie, jaką przeprowadził przed chwilą z generałem, pogratulował sukcesu, obiecując jemu oraz jemu zastępcy sowite nagrody. Jeszcze dzień wcześniej nikt nie mógł przypuszczać, że awantura skończy się dla oficerów tak szybko i znakomicie!

Nagle zza pobliskiego zakrętu wyłonił się biały ford; przyjrawszy mu się bliżej, Szcząchor rozpoznał rejestrację Agencji Kontrwywiadu. Samochód przejechał obok nich i zatrzymał się. Wygramolił się z niego gruby rudzielec.

– Profesor Goliszewski! – porucznik ucieszył się z przyjazdu sprawcy zamieszania. Był w tak dobrym nastroju, że nie chciał psuć go sobie, besztając roztrzępanego naukowca. –

Pańskie cacko jest całe i nieuszkodzone, chociaż narobiło trochę szkód – powiedział na powitanie i zaprowadził go do chronionego przez brygadę terrorystyczną pojazdu.

Goliszewski trzęsącymi się rękoma otworzył drzwi i podniósł kondensator Finckensteina z fotela. – Niebiosom niech będą dzięki – powiedział drżącym głosem.

– Muszę przyznać, że miałem o panu złe zdanie, ale zobaczywszy zniszczenia, jakie to coś spowodowało – ciągnął Szcząchór z rękami założonymi o tyłu – chyba zacząłem pana podziwiać. Dzieci, które się tym bawiły, zmiotły z powierzchni ziemi... O co chodzi?

Profesor pobladł i spojrzął na porucznika przerażonym wzrokiem, zaczynając ciężko oddychać. Szcząchór zaniepokoił się. Co się stało? Czyżby dzieciaki jeszcze coś sknociły?

– To... to działa – z najwyższym trudem wykrztusił z siebie profesor.

– To chyba dobrze, prawda?

– Nie rozumie pan... To urządzenie jest włączone... Zbiera energię... – Goliszewski zaczerpnął tchu. – Za dziesięć minut sprasowany zostanie obszar o średnicy trzystu kilometrów.

Szcąchór otworzył szeroko usta. Zabrakło mu języka w gębie. Opadły mu ręce. Zaśmiał się nerwowo. Co?! Co ten człowiek bredzi?!

Włosy zjeżyły mu się na głowie.

– To dzieci go włączyły. Procesu nie da się powstrzymać.

– Co?!... Proszę wyjąć baterie!

– To nic nie da! Prąd z baterii służy tylko do zapoczątkowania reakcji. Potem energia zbiera się sama!

– Musi być jakiś sposób!

– Nie – powiedział profesor słabym głosem.

Porucznik popatrzył ze zgrozą na zegarek. Nie, nie mógł w to uwierzyć. To było niemożliwe!

Spojrzął bezsilnie na profesora. Może blefował, żartował!... Nie, Goliszewski usiadł na ziemi i ukrył twarz w dłoniach.

Mężczyzna coś wymamrotał. Porucznik zbliżył się do niego. – Słucham?

– Pytałem, czy wierzy pan w Boga – wyszeptał profesor.

Süddeutsche Zeitung, miesiąc później

Nasi wschodni sąsiedzi – kiedy jeszcze istnieli – mieli kiedyś powiedzenie: „Polak potrafi”. Udowodnili to miesiąc temu, gdy teren obejmujący niemal całą Polskę, Obwód Kaliningradzki oraz części Litwy, Białorusi, Słowacji i Czech pokryty został niezwykle gęstą substancją, o prawie idealnie równej powierzchni, przypominającą glazurę. Przypomnijmy, że w tej największej katastrofie w historii ludzkości śmierć poniosło około pięćdziesięciu milionów ludzi, w tym ponad trzydzieści milionów obywateli polskich. Fala uderzeniowa, którą spowodował wybuch, przetoczyła się po większej części Europy, zmiotając z powierzchni ziemi część miast i niszcząc większość pozostałych. Zniszczenia dopełniło tsunami na Bałtyku, oraz oczywiście zawałenie się słowackich Tatr i Karpat, spowodowane nagłym sprasowaniem części górotworu. Trzęsienie ziemi, które zniszczyło gruzami miast, było najśmieszniejsze w historii zapisów sejsmicznych i wykroczyło poza skalę Richtera.

Wciąż nierozwiązany pozostaje problem przyczyn katastrofy, Nasze źródło z wywiadu informuje, że mogą nimi być tajemnicze eksperymenty, jakie w ostatnich miesiącach przeprowadzać mieli Polacy.

Oznaczałoby to, że po raz pierwszy w historii nasi sąsiedzi prześcignęli technologicznie resztę świata. Jak widać, nie potrafili właściwie wykorzystać swojej wiedzy. Ich los zawsze będzie nam przypominać o niebezpieczeństwach związanych z rozwojem techniki.

Mimo to wiele państw oficjalnie wyraziło zainteresowanie poznaniem procesów, które pozwalają na usunięcie z mapy całego kraju. – To niezwykle interesujące – mówi kanclerz Niemiec. – Przydałaby nam się taka technologia. – Jego zdanie podziela wiele państw, takich jak USA, Francja, Japonia, Rosja i Chiny – jak również większość światowych grup terrorystycznych.

Tymczasem niedobitki Polaków, którzy wybrali właśnie Szczecin nową stolicą kraju, pocieszyć może jeden fakt. Nasi sąsiedzi od wielu lat narzekali na fatalną jakość dróg. Dziś mają do dyspozycji nieograniczoną ilość równej, twardej i przyczepnej nawierzchni. Jak w wielu innych sytuacjach, tak i tu można się doszukać pozytywów: wprawdzie stracili trzydzieści milionów ludzi, ale już nigdy nie zabraknie im autostrad. ♦

Andrzej Mestwin Lewna

*Aniołom, tym zwykłym, codziennym.
A szczególnie jednej z nich.*

Wybór

Kazał mi to robić, mnie słabemu, pogrążonemu w ciemnościach, zamkniętemu w piwnicy pod żelazną kłapą, wśród mokrych kamiennych ścian, nie widzącemu nic prócz nieprzeniknionej czerni, pozostawionemu sam na sam ze swoimi myślami, równie zresztą mrocznymi jak otoczenie.

Nie odzywał się do mnie prawie wcale, zawsze cichy, przypatrywał się tylko, jego zielone oczy błyskały w ciemności – i było to bardziej przerażające niż wszystko inne. Nie zwracał uwagi, gdy skuty łańcuchami przemawiałem do niego, wykrzykiwałem przekleństwa, prośby i groźby. Obserwował. Ale nie widziałem w jego spojrzeniu żadnej satysfakcji, zachowywał się spokojnie, bardzo obojętnie, jakby wykonywał zwyczajną pracę lub domową czynność. Niekiedy wydawało mi się, że schodzi do mnie z jakimś zażenowaniem, ubrany w maskę pogardy – jednak wstydzący się tej swojej jakby narzuconej z góry roli.

Między mrokiem rzeczywistości a ciemnymi otchłaniami, gdzie wędrowałem przez większość czasu, nie było już prawie widocznej różnicy. Czasami w snach biegłem po wzgórzu, które okazywało się być górą odpadków na wysypisku, tarzałem się wśród nich szczęśliwy, bawiłem się jak dziecko, przewalałem się po rozbitym szkle z nieopisaną przyjemnością, robiłem fikołki na stertach gruzu, a na koniec oglądałem swoje rany i ogarniała mnie duma i radość człowieka wolnego, sypiającego w miejscu złożenia swojego zmęczonego ciała na ziemię.

Budziłem się zawsze w nocy pozbawionej światła księżyca i blasku najmniejszej chociaż gwiazdy. Ulatywały sennie marzenia, zastępowane półświadomymi majakami i halucynacjami. Podejrzewałem, że do papki, którą mnie karmi, dodaje jakiś narkotyk, by powiększyć moje zagubienie. Tonąłem we własnych fatamorganach, bełkotałem do nieistniejących rozmówców, w ciemności widywałem pokraczne, ohydne, karłowate stworzenia wyglądające jak dzieło jakiegoś szalonego demiurga, niczym istoty z obrazów Hieronima Boscha. Istoty te przychodziły do mnie, milczące jak mój prześladowca i godzinami wpatrywały się we mnie upiornymi, zwierzęcymi oczami.

I nie byłem już całkiem pewien, że to tylko halucynacje.

Co gorsza, przestawało mnie to obchodzić.

Blask znów mnie poraził i oślepił, wiedziałem, że nadchodzi ten, którego imienia nie znałem. Zaraz zacznie się tortura. Jak zwykle będzie spokojny, opanowany, metodyczny i zimny jak gład. Jak zwykle będzie okrutny. I jak zwykle będzie to trwało bardzo, bardzo długo. On potrafił zadawać ból.

Jak zwykle, kiedy będzie już po wszystkim, złoży mi swoją propozycję. Zaoferuje wolność i koniec bólu. Może będzie straszyl. Konsekwencjami nieposłuszeństwa, wiecznym zamknięciem w tej mokrej ciemności, straszną, powolną śmiercią.

Wszystkiego tego możesz uniknąć, powie. Tylko dokonaj wyboru.

Nie mogę. Nie wolno mi.

Boże, zmiłuj się.

– Nie można go tak zostawić. Nie wolno nam tego zrobić.

– Zastanów się, Natanielu. Mamy przecież Prawo. Nie możemy ingerować. Nigdy.

– To człowiek. Prawo mówi również, że musimy chronić ludzi. Zwłaszcza takich jak on. Jest ważny.

– Michał ma inne zdanie. Jeżeli okażesz nieposłuszeństwo po raz kolejny... Nie będzie już łaski.

– I tak zostałem już wykłuty. Nie mam nic do stracenia. Za to wy macie, jeżeli jemu się uda...

– Nie jest w stanie nam zaszkodzić. Jak zresztą nikt. Natomiast dla ciebie konsekwencje takiej interwencji będą straszne. Zastanów się, czy warto je ponieść dla jednego małego człowieka.

Chwila ciszy.

– Gardzę tobą, Urielu.

Najpierw myślałem, że to kolejny majak i podziękowałem za niego Bogu. Uniosłem potwornie ciężką głowę, wstałem z trudem na klęczki.

Ból gdzieś zniknął.

Byłem na srebrzystej, szerokiej drodze, utkanej jakby ze światła księżyca. Piękne. Klęczałem na rozstajach, na prawo ode mnie droga wiodła ku potężnemu, jasnemu światłu. Nie potrafiłem zlokalizować jego źródła. Zupełnie jakby dziwna jasność po prostu płynęła w powietrzu. Światło mnie zapraszało, było ciepłe, przyjemne i jasne. Było bezpieczeństwem.

Po lewej rozciągała się Ciemność. Głęboka, kłębiasta, gęsta jak ropa. Nie było tam nic. Przestrzeń po prostu urywała się, nikła nagle. Tylko bezkształtny, nieokreślony mrok. Straszny, ale przez to także dziwnie nęcący.

Na rozstaju nade mną stał mężczyzna. Długie, bardzo jasne włosy opadały mu na luźno na ramiona. Był nagi. Zza jego pleców bił dziwny blask i zobaczyłem, że ma skrzydła.

– Witaj – powiedział.

Wstałem z klęczek.

– To sen? – zapytałem – majak?

– Nie. To Wybór.

Patrzyłem na niego. Oczy miał dziwne, bez tęczy. Była w nich Wieczność.

– Tamten też chce, żebym dokonał wyboru. Ale ja nie mogę.

Skinął głową.

– Wiem.

Popatrzyłem na rozstaje. Na Światło po prawej i Ciemność po lewej.

– Światło i Ciemność? – zapytałem – To nigdy nie jest takie łatwe, nawet dla was.

Kolejne skinienie.

– Nawet dla nas.

– Jesteś Aniołem?

– Powiedzmy.

– Co to znaczy, „powiedzmy”?

– Sam mówiłeś, że to nigdy nie jest takie łatwe. Czy ty możesz z pewnością powiedzieć, że jesteś człowiekiem?

– Nie.

Wydawało mi się, że się uśmiechnął. Ale milczał.

– Po co mnie tu zabrałeś? – zapytałem.

– Żebyś Wybrał.

Cisza.

– Tak – powiedziałem – Chyba tak. Możesz mi coś poradzić?

– Wybierz dobrze.

Zwinął skrzydła, odsunął się na bok, przyglądając mi się uważnie tymi dziwnymi oczami. Staął z tyłu.

Byłem na rozstajach. Rozejrzałem się. Po prawej Światło, po lewej Ciemność.

Wybór.

Jasna mgła z jednej strony, kłębiasta czerń z drugiej. Złożyłem ręce jak do modlitwy, skupiając uwagę.

Wybierz dobrze.

Czy możesz z pewnością powiedzieć, że jesteś człowiekiem?

To nie takie łatwe.

Zwróciłem się do ciemnej chmury. Zrobiłem krok. Lecz zanim ogarnęła mnie czerń, odwróciłem się twarzą w stronę jasności.

I zrobiłem krok do tyłu. Patrząc w Światło.

Spazmatyczne drgawki wstrząsnęły ciałem. Serce w szoku tłukło jak oszalone, próbując jeszcze pompować krew do wiotczących mięśni.

Oddech coraz bardziej chaotyczny, urywany. Wreszcie płuca wypełnia ostatni, krańcowy haust powietrza. Klatka piersiowa nadyma się gwałtownie resztkami sił. Serce wreszcie się poddaje. Ciało ogarnia bezwład. Nareszcie koniec.

Śmierć. Wolność ostateczna.

Wybór. ♦

GDZAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. naczej.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

OKŁADKA: www.febleminds-gifs.com/free-pictures.html

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYŃIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR
240